MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII. Nr. 27 WARSZAWA, 19 CZERWCA 1938 R. CENA NUMERU 80 GR.

OBSŁUGA RELIGIJNA W POLSCE

PISAŁEM niedawno w „Myśli Narodowej” o języku ojczystym i przynależności wyznaniowej ludności kraju na podstawie wyników spisów ludności z r. 1931 i 1921.

Spis z r. 1931 wykazał, iż 98,3% rzymsko-katolików i ormiańsko-katolików podało jako swój język ojczysty język polski. Można więc powiedzieć, że co rzymsko-katolik — to Polak.

Wśród innych wyznań język polski jako ojczysty ma zasięg stosunkowo szczupły: wśród grecko-katolików i wyznawców obrządku wschodniego 14,6%, wśród prawosławnych 13,2%, wśród ewangelików około 27% (w tem wśród ewangelików unijnych tylko 15,2%, wśród innych kościołów ewangelickich ponad 30%,) wśród wyznawców religii mojżeszowej 12%.

Kościół katolicki w Polsce ma więc i mieć musi pierwsze i naczelne miejsce. Kościół rzymsko-katolicki zaś, jako główny, musi mieć gorące poparcie we wszystkich jego poczynaniach i społeczeństwa i państwa, jako ten kościół, do którego należy i którego dogmaty wyznaje olbrzymia większość Polaków. Wśród tych, którzy język polski nazwali swoim językiem ojczystym, rzymsko-katolicy stanowią 92,4%.

Ormianie stanowią grupę zaledwie parutysięczną. Na szali znaczą nie wiele. Są to również wyłącznie Polacy.

Mnóstwo faktów mówi nam, iż wbrew oczywistemu interesowi kościoła, narodu polskiego i państwa, właśnie sieć placówek kościoła rzymsko-katolickiego jest najsłabsza, a obsługa religijna tego właśnie wyznania jest najgorzej zorganizowana. Wykazuje największe luki.

Czytamy w sprawozdaniu senatora J. Rudowskiego, referenta budżetu Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego na r. 1938/39, a więc na okres obecny, takie słowa:

„W r. 1931 parafij rzymsko-katolickich było 6,684 czyli na jedną 3,620 dusz, parafij ewangelickich 420, czyli na jedną 2,000 dusz; parafij prawosławnych 1,160 czyli na jedną 3,260 dusz”.

„Widzimy, że najmniejsze nasycenie parafiami jest wśród wyznania rzymsko-katolickiego. A już zupełnie rażący stan wykazuje się, gdy rozdzielimy konfesję rzymską na parafie obrządku łacińskiego i grecko-katolickiego; w pierwszym wypadnie 4,158 dusz na jednego proboszcza, w drugim zaledwie 1,687, czyli około trzykrotnie większa możliwość wpływu proboszcza na parafian. W tym oświetleniu nawskroś realnem i życiowem fakt utworzenia 50 nowych parafij katolickich na terenach południowo-wschodnich nie tylko przez całą społeczność katolicką, ale również i przez wszystkie elementy narodowo-państwowe z całem uznaniem i radością przyjęty być winien”.

Sen. Rudowski używa dowolnie słów „rzymsko-katolicy”, raz w znaczeniu członków kościoła rzymskiego (a takich wyznań mamy w Polsce aż 4: rzymsko-katolicy, ormianie, greko-katolicy, obrządek wschodni), drugi raz w znaczeniu ściślejszym jako katolików obrządku rzymsko-katolickiego, stąd wywody jego, acz owiane dobrą wolą, wypadły mętnie i nieściśle.

Sen. Rudowski jako kryterium dla oceny obsługi religijnej przyjął ilość wyznawców na jednego proboszcza. Wiemy, że nie jest to kryterium ani jedyne, ani — najważniejsze. Obszar parafii jest w bardzo wielu wypadkach czynnikiem bardziej ważkim, niż ilość parafian. Proboszcz zaś większej parafii ma pomoc w wikarych, ewent. i w prefektach szkół.

I

Sięgnijmy okiem w przeszłość nie tak daleką: do r. 1913, a więc ostatniego przed wojną, która nam przyniosła wolność. Zacznijmy badania od— kościoła rzymsko-katolickiego.

„Rocznik Polski, 1917” Romera i Weinfelda daje nam na str. 38 obraz stanu kościoła rzymsko-

katolickiego na ziemiach polskich w tym czasie, t. j. tuż przed wojną

Tabela Romera i Weinfelda podaje, iż rzymsko-katolicy mieli:

w dzielnicy:	parafij	kościołów filialnych i innych	księży	wyznawców
pruskiej	1.177	390	2.029	4.521.000
austriackiej	980	1.620	1.928	4.253.000
Królestwie Polskim	1.722	1.013	2.870	9.846.000
Litwie, Białorusi i Rusi	957	1.419	1.749	4.713.000
Razem	4.836	4.442	8.576	23.333.000

Jedna parafia wypada na 2,700 dusz, względnie 1 kościół lub kaplica na 2,500 dusz (liczymy filie i kaplice do parafij) co nie jest zbyt ściśle.

Jakże jednak wielkie widzimy między poszczególnemi parafiami różnice!

Oto jedna parafia przypadała:

w dzielnicy:	na km²
pruskiej	68
austriackiej	81
Królestwie Polskim	74
Litwie, Białorusi i Rusi	481

Idźmy jeszcze dalej.
Jedna parafia przypadała:

w diecezji	na km²
lubelsko-podlaskiej	120
sejneńskiej (dziś łomżyńskiej)	144
mohylewskiej	755
mińskiej	1.380
wileńskiej	288
żmudzkiej	200
łucko-żytomierskiej	795
podolskiej	430
warszawskiej	60
kieleckiej	48

Na jedną parafię przypadało:

w diecezji:	dusz:
mińskiej	4.480
żmudzkiej	6.900
wileńskiej	5.250
łucko-żytomierskiej	3.360
warszawskiej	5 400
kieleckiej	4.900
lubelsko-podlaskiej	6.750
sejneńskiej	6.530

Jakże inaczej wyglądała obsługa 5,400 dusz rzymsko-katolickich w diecezji warszawskiej przez jednego proboszcza na obszarze 60 km² i n. p. 4,480 dusz również rzymsko-katolickich w diecezji mińskiej na obszarze 1,380 km²!

Jest jasnem, iż przy obsłudze religijnej olbrzymią wagę przywiązywać musimy do ilości parafij, a mniej do liczebności w nich parafian.

„Rocznik Polski 1922" Weinfelda przynosi nam tablicę, ilustrującą stan kościoła katolickiego u wstępu do niepodległości (str. 59).

Oto najważniejsze dane tej tablicy. Było:

w dzielnicy:	kośc. paraf.	kośc. i kaplic inn.	księży
pruskiej (r. 1919)	752	322	1.192
austriackiej (r. 1920)	1.079	279	2.119
w Królestwie Polskim	1.835	1.014	2.775
na ziemiach wschodn.	468	65	760
na Śląsku	161	—	296
Razem	4.295	1.680	7.142

Bardziej od tych statystyk miarodajną będzie statystyka, zamieszczana w załączniku do „Preliminarza budżetowego na r. 1923", a oparta na sprawozdaniach konsystorzy diecezjalnych z jesieni 1922 r. oto ona. Było:

w diecezjach:	proboszcz.	rekt. filij	wikar.	og. księży i alumnów
warszawskiej	252	16	166	584
włocławskiej	386	20	284	759
płockiej	252	10	126	450
łódzkiej	68	8	87	191
kieleckiej	257	8	115	435
sadomierskiej	222	11	125	406
lubelskiej	223	29	134	428
podlaskiej	176	8	109	330
łucko-żytomierskiej	82	3	20	207
mińskiej	51	15	53	157
wileńskiej	344	45	83	660
sejneńskiej	104	5	106	260
poznańskiej	311	35	102	503
gnieźnieńskiej	216	28	54	332
krakowskiej	225	—	177	759
tarnowskiej	181	45	139	411
przemyskiej	294	58	219	749
lwowskiej	234	136	196	682
chełmińskiej	246	9	69	365

Daje to razem 4,122 proboszczów, 489 rektorów kościołów filialnych 2,364 wikarych, a z innymi (biskupi, kanonicy, profesorowie, alumni, zakonnicy, urzędnicy) razem 8,668 osób.

Obydwa Śląski zorganizowane były tymczasowo osobno i zależne jeszcze częściowo od Wrocławia i nie są objęte powyższą statystyką.

Stan nasycenia parafiami, wyżej podany, był już nieco odmiennym od stanu, odziedziczonego po Rosji. Już pierwsze rządy polskie w 1919 r. przywróciły 55 parafij rzymsko-katolickich na Podlasiu i 32 parafie na Chełmszczyźnie oraz przyłączono duchowieństwo powiatu brasławskiego, dotąd zależne od Kowna, do diecezji wileńskiej. Podniosło to ilość probostw o 30. Przyłączenie do Polski obydwu Śląsków i zorganizowaaie tam odrębnej diecezji dało dalsze 151 probostw i 20 kaplic lokalnych.

Preliminarz budżetu na r. 1927/28 zawiera etaty kościoła rzymsko-katolickiego, ustalane umową pokonkordatową 2 sierpnia 1925 r. w następującej tablicy.

Tego dnia było:

w diecezji:	proboszcz.	rektorów	wikarych	wszystkich razem
gnieźnieńsk.-pozn.	563	—	256	1.031
chełmskiej	223	40	110	481
włocławskiej	241	15	145	676
warszawskiej	231	18	163	761
płockiej	223	9	110	574
sandomierskiej	212	12	123	499
lubelskiej	208	34	134	594
podlaskiej	195	10	111	566
łódzkiej	113	12	144	398
wileńskiej	323	85	92	689
łomżyńkiej	131	6	128	446
pińskiej	117	18	30	314
lwowskiej	372	27	169	835
przemyskiej	328	—	202	645
łuckiej	100	6	33	253
krakowskiej	262	—	180	699
tarnowskiej	259	1	155	575
kieleckiej	220	9	85	488
częstochowskiej	171	6	132	378
śląskiej	151	20	80	349

Daje to razem 4,643 probostw, 328 rektorów, 2,582 wikarych, a z alumnami, kanonikami, zakonnikami, profesorami i konsystorzami—11,251 osób. Różnice między statystyką z r. 1922/23 a r. 1935 są liczne. Są one wynikiem nowego podziału die-

cezyj, zniesienia mińskiej, utworzenia częstochowskiej, dostosowania diecezyj do granic państwa, tworzeniem nowych parafij, zamiany filij na parafie i t. p. Ostatni wykaz z r. 1931/32 podaje, iż między r. 1925 a 1931 otrzymały dodatkowo poszczególne diecezje: gnieźniesko-poznańska 39 parafij, warszawska 3, płocka 1, sandomierska 3, lubelska 6, podlaska 2, łódzka 3, wileńska 8, łomżyńska 1, pińska 9, przemyska 4, łucka 25, częstochowska 1, śląska 24; chełmińska, włocławska, lwowska, krakowska, tarnowska i kielecka nie dostały nic. Razem tedy przybyło w ciągu 6 lat 125 parafii, z tego trzy diecezje, gnieźnieńsko-poznańska, łucka i śląska otrzymały 84 parafie. Od r. 1931/32 do r. 1938/39 przybyło dalszych 55 parafij. Ma więc obecnie, w r. 1938, kościół rzymsko-katolicki razem 4,823 parafij. Gdy ustalane były granice państwa naszego, mieliśmy parafij rzymsko-katolickich około 4,250. Utworzyliśmy dotąd około blisko 600 parafij nowych, z tego 400 przed zawarciem konkordatu w r. 1925 i 180 po zawarciu konkordatu. Cyfry powyższe zmaleją, gdy stwierdzimy, że około 200 parafij powstało z kościołów filialnych. Kościołów takich mieliśmy w r. 1925 — 541, dziś mamy ich już razem z grecko-katolickiemi 358. Właściwy tedy dorobek kościoła rzymsko-katolickiego w ciągu lat 20 wynosi około 400 parafij.

W r. 1931 było rzymsko-katolików 20.670,100. Na jedną parafię wypada więc przeciętnie 4,300 dusz. Jedna parafia obejmuje przeciętnie 77 km².

Lat temu 150, gdy ludność Polski dzisiejszej liczyła około 4 razy mniej, parafij rzymsko-katolickich było nie wiele mniej, niż ich jest dzisiaj. Rząd rosyjski skonfiskował kilka tysięcy kościołów unickich i około tysiąca kościołów i kaplic rzymsko-katolickich. Od r. 1864 nie podobna było uzyskać zgody rządu rosyjskiego na utworzenie jakiejkolwiek nowej placówki duszpasterskiej.

Wskutek specjalnej polityki zaborców wytworzyła się z latami olbrzymia dysproporcja w ilości kościołów rzymsko-katolickich i cerkwi prawosławnych na ziemiach wschodnich, kościołów rzymsko-katolickich i zaborów ewangelickich na ziemiach zachodnich.

Dysproporcyj tej Polska dotąd nie usunęła.

STANISŁAW RYMAR

(Dok. n).

O DALSZE BADANIA NAD STASZICEM

DWA RAZY wypadło mi pisać o Staszicu. W księdze zbiorowej pod tytułem „Stanisław Staszic" (Lublin 1926) umieściłem był rozprawkę „Kultura czynu u Staszica", a potem w r. 1935, gdy wydając studjum „O wielości cywilizacyj" poprzedzałem je w rozdziale wstępnym krótkim przeglądem dotychczasowych syntez historiozoficznych, nie mogłem oczywiście pominąć Staszica, lecz mogłem mu poświęcić zaledwie 25 wierszy. Poprzestałem też na suchem tylko wskazaniu źródła tego, co uchodzi za filozofię Staszica, wypisując o tem jedno tylko zdanie: „Umysłem filozoficznym Staszic nie był, idzie w rozumowaniach za popularnym w swoim czasie Józefem Degerando (1772 — 1842). Obecnie chciałbym to zdanie nieco rozszerzyć.

Staszic, urodzony w r. 1755, rósł równo z Encyklopedią (1751 — 72) a chociaż potem nie we wszystkiem zgadzał się z encyklopedystami, pozostawał pod silnym ich wpływem, jak całe jego pokolenie. W prądzie tym kwitnęły matematyka i nauki przyrodnicze, lecz filozofia uległa „zadrzemaniu." Co dla nas dziś dziwne, że niemal wszyscy przyrodnicy tej szkoły lubili zarazem nietylko dyletantyzować w naukach humanistycznych (zwłaszcza w historii), ale co jeszcze ciekawsze, bywali nadto literatami i pozostawili po sobie stertę książeczek wierszowanych, nazywanych całkiem poważnie poematami. A przez filozofię i filozofowanie rozumiano roztrząsanie wszystkiego a wszystkiego według zasad i poglądów „Encyklopedii" Towarzyszyło temu całkowite lekceważenie nauki filozofii.

Był tedy i nasz Staszic przyrodnikiem, uprawiającym także humanistykę i nawet pisującym dużo wierszy. Ale on w nauce jest wielkością taką, iż przeszło w sto lat dzieła jego mają wartość, a czyny jego i fundacje w życiu publicznem są zaiste wiekopomne. A wszystko u niego zmierza do jednego celu, jak do ogniska; praca naukowa, działalność obywatelska, pisma polityczne, tudzież zbieranie majątku i szafowanie nim. Jakim podziwem i jaką czcią jestem przejęty dla tego bohatera kultury czynu, wysłowiłem już dawniej. Należę jednak do pokolenia (wymierającego), któremu wiadomo było, jako krytyka nie uwłacza czci, ani nie zmniejsza podziwu, a potrzebną jest... dla porządku. Gdybym miał majątek, urządziłbym seminarium Staszicowskie, ażeby po kilku młodych uczonych poświęcało całe swe życie specjalnemu i jak najbardziej specyalizującemu się badaniu „Staszica i jego czasów." Póki na marzenia niema jeszcze podatku, rójmy sobie, że jednemu z takich specjalistów oddaję poniższą notatkę, z prośbą, żeby dalej docierał do źródeł.

Chodzi o „Ród ludzki". Staszic i Kołłątaj, nie wiedząc o sobie wzajemnie, zbierali materiały do prehistorii. W r. 1794 Staszic ma już gotowe rozdziały początkowe, ale tymczasem zamiary jego poszybowały już dalej, myśli o historii całej ludzkości i powstaje pomysł wielkiego dzieła o rodzie ludzkim. Wierszem: lichych wierszy całe 17 000. Przekroczył sześćdziesiątkę i jeszcze zabawiał się tem rymotwórstwem (dzieło wyszło w r. 1819). Schemat, ujęcie przedmiotu i wierszowanie są na podobieństwo piśmiennictwa francuskiego, gdzie mową wiązaną zaszczycano wówczas wszelkie niepoetyczne tematy. Nawet wyrażenia techniczne urabiane są według normy francuskiej.[1]) Ażeby zbadać dokładnie genezę tego dzieła, trzeba by się zapoznać z obfitą francuską poezją dydaktyczną owego czasu i z dziełami przez Staszica cytowanemi. Ale „Ród ludzki" zawiera nie same tylko wiersze. Nie mniej obszerne dzieło stanowią tam „noty", podające aparat i metodę — i to trzeba studiować.

---

[1]) por. przypis. w tomie I do str. 78.

Nie należy odnosić „Rodu“ do Herdera. Cytuje go wprawdzie (z początku), lecz niewiele. Mylnem też jest poszukiwanie rodowodu u Turgota, którego Staszic całkiem nie cytuje, a który był umysłem zgoła innego pokroju. Natomiast wiele powołuje się na Condorceta, co dotychczas pomijano.[2]) Cytuje gęsto filozofów i podróżników, poza tem humanistów ledwie 12, z czego 4 francuskich, 4 polskich i 4 innych narodowości.[3])

Mylnem jest mniemanie, jakoby Staszic pierwszy doprowadził był przegląd historii powszechnej aż do najnowszych czasów, a nawet jął się prorokować przyszłość.[4]) Pomysł pochodzi od Condorceta, ale Staszic nie podziela wcale poglądów francuskiego pisarza. Nie uwielbia rewolucji, tylko ją usprawiedliwia i toleruje, bo w pewnych okolicznościach może być niezbędną; ideałem jednak politycznym jest mu monarchia konstytucyjna. Dużo przyjaźni względem „nowej“ Rosji pochodziło u Staszica stąd, że Aleksauder I, stał się konstytucyjnym królem Polski (a wiadomo, jak rozpowszechniał legendę, jakoby był sam osobiście zwolennikiem konstytucyjnej formy rządu, którą rzekomo radby zaprowadzić w całem swem państwie!). Condorcetowi była rewolucja sprawą świętą, a zrzeszenie narodów przez nią miało się dokonać. Staszic przyjmuje od niego ideę tego zrzeszenia, ale uważa, że dokona się to drogą wręcz przeciwną: przez Rosję, która położyła kres pochodowi rewolucji w Europie i w formie nie republikańskiej. Dla niego „władza rządząca, władza królów“ jest „częścią cywilizacyj istotną“.[5])

Pomysł zrzeszenia, jakiejś federacji europejskiej, chronologicznie pojawia się w owej epoce w druku najpierw u Kanta, a potem u Condorceta i różnica czasu wynosi całych dziesięć lat (1784—1794). Na pewno Condorcet nie wyczytał go w Kancie, ale Staszic na pewno wyczytał w Condorcecie.

Uważa się Staszica mylnie za filozofa, za jakiegoś matadora w dziejach filozofii polskiej. Był filozofem w tem znaczeniu, jakie za jego czasów nadawano „filozofowaniu“.

Bardzo znamienny co do tego jest przypis do rozdziału VI w tomie I, na str. 418, gdzie krótko a węzłowato podaje Staszic swój pogląd na całą historię filozofii:

„Człowiek niema wyobrażeń wrodzonych; nabywa je przez zmysły. Plato, mistycznych myśli pełna głowa, pierwszy dawał naukę o wyobrażeniach wrodzonych. Kartezy myśl Platona rozszerzył i jako umiejętność podał. Z uczniów, z naśladców Kartezego najsławniejszymi byli Malebranche, Paschal, Arnould. Do nich przystąpił Leibnitz i przydał jeszcze naukę o monadach. Przez tę odnowił dawnych myśl o przedistnieniu (préexistence) dusz. Nie przypuszczał jednak ich przechodu w zwierzęta. Naukę Leibnitza poparł dowcipnie Wolf i przez osobliwszy sposób jej wykładu upowszechnił ją w wszystkich szkołach Niemiec. Nakoniec nastąpił Kant. Temu zdawało się, iż między wyobrażeniami przez zmysły nabytemi jest coś pośredniczego. O tem napisał księgi. Te są niezrozumiałe. Aristot głębokiej uwagi pisarz, wyrzekł najpierwszy: że to wszystko, co wyobraża rozum, muszą wprzódy uznać zmysły (*Quod est in intellectu, fuit prius in sensu*). Toż mniemał Hipokrat; tegoż zdania był Zenon. Abelard i Rosselin pierwsi z nowych pisarzy dostrzegli w dziełach Aristota tę myśl wielką. Tomazy przyłączył się do nich. Bacon rozwinął ją i stosunkami z doświadczeń objaśnił. Hobbes i Pufendorf jeszcze ją różnemi uwagami poparli. Gassendi dla jej wydoskonalenia wiele nowych myśli przysposobił. Nakoniec prostego rozsądku Lock, obrażony mylnem Kartezego mniemaniem, podanem za zasadę nauki o wrodzonych wyobrażeniach, zebrał wszystkie wywody na utwierdzenie prawdy przez Aristotelesa wyrzeczonej. Naukę Locka posunął daleko Kondillac. Degerando postawia ją na drodze postępowania ku rzędowi umiejętności dokładnych.“

Jestem głęboko przekonany, że gdyby Staszic był się wogóle zajmował filozofią choćby odrobinę samodzielnie, zdobyłby się na coś lepszego, niż ten ustęp! Ten Aristot popierany przez Puffendorfa pachnie ogromnie szkołą Encyklopedii, i do Francji ówczesnej przenosi nas odrzucenie Kanta z góry, bo niezrozumiały. Cały ten ustęp wzięty jest skądś z drugiej ręki. Staszic nie lubował się w filozofii, jako w umiejętności „niedokładnej,“ toteż ocierał się o nią tylko z daleka i był pewny, że mu to wystarcza.

Ale na końcu tego korowodu „niedokładności“ naukowej zjawia się wreszcie ktoś, kto filozofię „postawił ku rzędowi umiejętności dokładnych.“ Zbawca! Degerando!

Co za Degerando? Czy słyszał kto kiedy o Degerandzie jakim? Staszic cytuje bardzo często dwa dzieła, tego autora, których tytuły w pełnej rekonstrukcji brzmią, jak następuje: *Theorie des signes et de l'art de penser dans leurs rapports mutuels*, Paris 1800 — drugie: *De la generation des connaissances humaines*, Berlin 1802.

Pisywał nadzwyczaj dużo; tak dużo, iż nawet „duży Larouse“, t. j. *La Grande Encyclopedie* wymienia tylko ważniejsze. Z wymienionych tam najważniejsze są dla nas dwa dzieła, jako najbliższe tematu Staszica:

Considerations sur diverses méthodes à suivre dans l'observation des peuples sauvages — Observations des sauvages Paris 1801. Widocznie jest to dzieło, które Staszic, nie wymieniając nazwiska autora, cytuje często krótko: *Considerations sur Sauvages*, — nawet jeszcze krócej: *Sauvages* i t.p. Gdyby się to sprawdziło, w takim razie powstanie kwestia, czy pierwsze księgi „Rodu“ oparte są na Herderze, czy na Degerandzie?

Tytuł drugiego dzieła brzmi: *Histoire comparée des systémes de philosophie relativement aux principes des connaissances humaines*, Paris 1804, trzy tomy. O ile wnosić z nagłówka, dzieło to treścią swą musiało się Staszicowi wprost wpraszać. A nadto ogłosił też *Histoire de la philosophie* i wiele innych. Tego więc upodobał sobie Staszic i być może, że wziął go sobie za przewodnika w podróży przez ocean filozofii. A teraz przyznam się, żem tych

[2]) Ignacy Chrzanowski „Ród ludzki“ Staszica, jako wytwór filozofji wieku oświeconego. (Archiwum Komisii do bad. hist. filozofii w Polsce, tom I, część I, Kraków, Ak. Um. 1915).

[3]) Gilbert, Brians, Brosses, Buat; Hutchinson, Lettleton, Solis, Łomonosow; Stryjkowski, Ossoliński, Jan Potocki, Chwałkowski.

[4]) Treść dzieła podał krótko a dobrze T. Korzon: Staszyc jako historiozof (Kwartal. hist. 1887, s. 561).

[5]) w tomie III s. 251.

dzieł nie czytał, rozgrzeszywszy się w tem, że trzebaby nato dwuch lat czasu, a przecież nie piszę zadnej monografii Staszica. Mnie chodziło tylko o wyrobienie sobie o nim własnego sądu w materiach posiadających bezpośredni związek z nauką o cywilizacji.

Stawiając drogowskaz dla wszystkich specjalistów od Staszica, zwrócę uwagę jeszcze na dwie okoliczności. Joseph Marie baron de Gerando, 1772 — 1842, seminarzysta zakonny, wnet żołnierz roku 1793 przeciw Konwentowi, kilkakrotny uchodźca i wygnaniec, potem zwolniony od służby wojskowej, ażeby mógł oddawać się wyłącznie nauce, był przedewszystkiem administratorem; był pierwszym profesorem administracji. Brał udział w życiu publicznem, godząc się to z tym, to z owym rządem; zasiadał w Radzie Stanu nawet pod Ludwikiem XVIII.

Faktem jest, że Staszic również zajmował się wiele administracją. Gdybyż się kto ofiarował, żeby zebrać pomysły i rady Staszica i zestawić je z nauką administracji u Degeranda? A może pierwszy w Europie profesor administracji wywierał wpływ nie na samego tylko Staszica? Jaki był jego system? A musiał mieć sporo zalet, skoro utrzymywał się przy tak zmiennych w ówczesnej Francji formach rządu.

Zdaniem „La Grande“ „pisarz to był mierny, a filozof równy zeru.“ Wartoby i to... sprawdzać, Albowiem chociaż Degerando wystąpił ze seminarium zakonnego, jednakże nie przestał wyznawać katolicyzmu i uchodzi za filozofa katolickiego. O ile słusznie? Pamiętajmyż, że Staszic miał święcenie kapłańskie, a przy całym swym liberalizmie nie występował jednak nigdy przeciwko Kościołowi. Wiemy zaś, że pisarze uchodzący za katolickich, bywają osądzani surowiej. Być może, że filozofii Degeranda (gdy ją poznamy) nie będziemy brali na serio, a Staszicowi odmówimy w tym zakresie kompetencyj; lecz niemożliwem jest, żeby nie było nic a nic cennego w pisarzu, który się Staszicowi podobał! Ileż tu pola do dociekań!

Przejdźmy do pytania, jak Staszic zapatrywał się na zagadnienie „cywilizacji".

Staszic używa w „Rodzie ludzkim" wyrażenia „cywilizacja" i możnaby do pewnego stopnia mówić, jako pisze historję cywilizacji. Przez cywilizację rozumie uspołecznienie się,[6]) a „dzieje ludzkie są wielką nieprzerwaną walką cywilizacji przeciwko wszystkim do jej rozwijania się i do jej postępu oporom. Z tego tylko stopnia patrząc na narody, można wystawić ich rzeczywiste dzieje." [7]) Chodzi w pierwiastkowej fazie cywilizacji o „współecznienie" indywidualne, człowieka wobec człowieka, ale potem idzie się wyżej, do wytworzenią społeczności narodu, ku owej upragnionej rzeszy. Pierwszą cywilizacją w tem znaczeniu była liga achajska, drugą cesarstwo rzymskie, trzecia zapowiadała się w wiekach nowych od Karola W. do Karola V. i później aż do czasów staszicowych, kiedy wydawała się blizką urzeczywistnienia. Ale będzie się po raz czwarty pracować około wytworzenia cywilizacji w Europie, co „nastąpi przez największy na tej ziemi naród Słowian." [8]) Tak będzie całe Europa „współeczniona", usunąwszy żydów, a nie dopuszczając „współecznienia się" Anglii, która musi być pozostawiona poza rzeszą.

„Cywilizacja" nabiera tu znaczenia bądź co bądź politycznego, państwowego. Nie tuszył Staszic, że nie tak bardzo dalekim jest od Kanta!

Zasługuje też na specjalne dochodzenia zagadnienie „jaki wpływ wywarło dzieło Staszica na myśl polską". Od niego np. pochodzi teza, jako „rzeczywista historja narodu polskiego jest tylko pod panowaniem Piastów", od niego „gminowładztwo", uchodzące za pomysły Lelewela. W księdze VII. czytamy: „Z bezecnych zasad wszego gwałtu wychodzić w towarzystwach musi postęp rządu“ — a więc pojęcie to samo, na którem opiera się pomysł Słowackiego „Króla-Ducha" okresu pierwszego. A pamiętać należy, że Staszic kuł swoje rzekome pentametry przez całych lat 25 (1793—1818), co pozostawiło sporo śladów na treści, zwłaszcza na ustępach o Rosji, to i owo pisane było po Maciejowicach, tamto po kongresie wiedeńskim. Możnaby mu przypisać dewizę: cokolwiek się z Polską dzieje, pracuj w Polsce, dla Polski.

Ten mąż zawsze będzie przedmiotem badań naukowych, bo na nim i przy nim można się nauczyć bardzo wiele. Każde pokolenie hołd mu składa, starając się przysporzyć znawstwa jego osoby i spraw. Oby się i ten drobiazg do tego przyczynił!

Kraków FELIKS KONECZNY

[6]) w tomie III. s. 259 czytamy: „Takich głównych zasad cywilizacji czyli współecznienia się ludzkiego...". U Korzona j. w. s. 570 jest taki cytat: „Podobnie historja rodu ludzkiego, jego cywilizacja czyli ludzkie społeczeństwa...

[7]) Korzon j. w. s. 571

[8]) tamże s. 575.

IN RE II.

PRO DEO

WEDŁUG metody wojskowej, że najlepszą obroną jest atak, p. Mosdorf w odpowiedzi swej (na moją krytykę jego książki) milczeniem większość moich zarzutów pomija, natomiast atakuje mój światopogląd filozoficzny, który nazywa pogaństwem. Uznając milczenie mego przeciwnika za znak pogodzenia się w tym wypadku z losem, chętnie atak przyjmuję, bo jego wynik sprawę całą zasadniczo wyjaśni. Co prawda, jak w stosunku do polityki dwóch obozów polskich w ostatniem czterdziestoleciu, tak samo i tu przeciwnik mój ma pełną swobodę ruchów, ja zaś bardzo jestem skrępowany, lecz mimo to postaram się o najogólniejsze bodaj zarysowanie postawy mojej wobec zagadnień ostatecznych, oraz o wykazanie jej źródeł.

Słowem „pogaństwo" posługuje się zazwyczaj literatura dla oznaczenia wszelkiego rodzaju politeizmów. Powstało ono z łacińskiego słowa *„paganus"* („chłop" a w przenośni „gbur"), któ-

rem to słowem na pograniczach Italji chrześcijanie nawracający ludy przezywali nie-chrześcijan. Poganie owi nie pozostali dłużni i nazywali chrześcijan „kretynami”, od słowa „*crétin*”, które dla obu znaczeń w narzeczu alpejskiem powstało z łacińskiego słowa „*christianus*”. Przypuszczam, że p. Mosdorf nie chce wznawiać tych swarów odległych, a wątpić można, czy podejrzewa mnie o politeizm, który zresztą, musiałby by być ściśle określony. Wobec tego słowo „pogaństwo” w odpowiedzi mojego przeciwnika żadnej treści rzeczowej w sobie nie zawiera. Przeciwnik mój uzupełnia je pod moim adresem jeszcze nazwami: bijologizm rasistyczny i nietzscheanizm, a w szczególności wielokrotnie powtarza o mnie słowo „nietzscheanista”. Ma to oznaczać, że pogaństwo moje przejąłem od Nietzschego i że ma ono charakter wierzeń Matyldy Ludendorff i Adolfa Hitlera.

W wyjaśnieniu mojem będę miał na uwadze te dowolności, które p. Mosdorf za pewniki podaje, gdyż nadewszystko chodzi mi o prawdę. Nada to na wstępie wyjaśnieniu mojemu, pewien odcień powieściowej drobiazgowości, którą jednak wnioski całkowicie usprawiedliwią. Uprzedzam przytem, że charakter sprawy zmusza mnie do wynurzeń bardzo osobistych, których w żaden sposób uniknąć tu nie mogę, ale ograniczam je przynajmniej do ram bezwzględnej konieczności. Pozatem sądzę, że ze względu na powagę mojego przedsięwzięcia, ta, że tak ją nazwę, „spowiedź dziecięcia wieku” mimo nadzwyczajnego skrótu swojego może dla dokumentów wieku naszego stać się kartą wartościową.

Gdy byłem chłopcem dziesięcioletnim, wychowywany w atmosferze domu religijnego, pod wpływem muzyki, domowych nabożeństw majowych, pieśni matczynych i opowieści urobiłem sobie pojęcie o Chrystusie, jako o postaci w bieli, niby kroczącej poprzez aleje kwitnącego sadu naszego wśród klombów róż, jako o postaci świetlanej i nieskończenie dobrej. W tym czasie razem z gromadką uczniów gimnazjalnych z koła naszych znajomych posłano mnie na rekolekcje przedwielkanocne, które dla nas prowadził ksiądz na plebanji. Ksiądz ten był typu ascetycznego: suchy, czarny, z oczami pałającemi, nosem ostrym i zaciętemi ustami. Lekcje odbywały się wieczorami w zimnej i posępnej sali plebanji.

Na jednej z lekcyj ksiądz wygłosił wykład obrazowy o grzesznych potępieńcach i o tem, jak Chrystus rad przygląda się z nieba, kiedy djabli smażą ich w kotłach smołą napełnionych. Wzburzony takiem oszczerstwem odezwałem się głośno, że to nieprawda. Na to ksiądz, ofuknąwszy mnie, i licząc się zapewne z kilkorgiem matek na sali obecnych, wziął książkę i odczytał z niej miejsce, gdzie Chrystus, posyłając apostołów, tak do nich mówi: „I ktobykolwiek was nie przyjął, ani słuchał mów waszych: wychodząc precz z domu albo z miasta, otrząśnijcie proch z nóg waszych. Zaprawdę powiadam wam: lżej będzie ziemi Sodomskiej i Gomorskiej w dzień sądny, niźli miastu onemu”. Poczem objaśnił dzieje Sodomy i Gomory, przeczytał jeszcze parę miejsc o piekle i z uporem wrócił do swojego obrazu Chrystusa. Byłem zmiażdżony.

Nazajutrz oświadczyłem w domu, że za nic nie pójdę więcej na rekolekcje ani do spowiedzi. I na swojem postawiłem. Od tej pory w sferach kumoszek uzyskałem opinję poganina, która, jak widzę, dotychczas wiernie mi towarzyszy.

Po tem zdarzeniu i zapewne pod jego wpływem, wtrącony w najgłębszą rozterkę duchową, zacząłem rozmyślać o Bogu i wszelkich tego zagadnienia możliwościach. Nocami w blasku księżyca modliłem się żarliwie, żeby mi dał znak swego istnienia na niebie... Te rozmyślania moje i modlitwy były tragiczne, bo sercem myślałem, a myślą cierpiałem. Obecnie, w perspektywie lat, patrzę na siebie — na tego chłopca nieletniego — z całym objektywizmem psychologa, i wierzę, że to, co wtedy objawiało się we mnie w stanach zawiązkowych, było zapowiedzią nieuniknionej w tym zakresie dla całego życia mojego linji rozwoju, — a to nawet, rzecz ciekawa! nie wyłączając charakteru otaczających ten zakres zdarzeń zewnętrznych.

Po kilku latach z czwartej klasy gimnazjum rosyjskiego wyrzucono mnie z tak zwanym „wilczym biletem” za „rewolucyjną” działalność narodową. Ojciec mój tyle zdołał uczynić, że władze skreśliły ów „bilet”, więc wysłano mnie do Warszawy i umieszczono w t. zw. „trzeciem” gimnazjum rządowem. Religji wykładał tam osławiony i znienawidzony przez polską Warszawę ksiądz Cieślewski, pachołek rosyjski. Znowu zatem los postawił mi na drodze księdza wyjątkowo nieodpowiedniego. W połowie roku szkolnego, oburzony jego postępowaniem, po kilku gwałtownych z nim zajściach pewnego dnia wsiadłem na pociąg, samowolnie wróciłem do Siedlec i zapewniłem rodziców, że więcej do gimnazjum rosyjskiego nie pójdę, ale że będę sam się uczył.

Odtąd stałem się samoukiem. Czytałem dużo, a jedne z pierwszych dzieł naukowych, na jakie natrafiłem, — dzieła Flammarjona na oścież otworzyły przedemną bezmiary niebios i postawiły mnie na odpowiednio wielkim terenie bezpośrednio w obliczu najgłębszego zagadnienia dziecięcej mojej metafizyki. W tym samym czasie przeczytałem Darwina. Jego teorja nie tylko nie zachwiała mojej wiary w Boga, ale przeciwnie — umocniła ją, bo dorzuciła do niej podziw przed nieogarnionem bogactwem i cudowną wynikliwością życia organicznego. Od tej pory nie przestawałem śledzić postępów zarówno astronomii razem ze związanemi z nią naukami, jak i nauk przyrodniczych.

W kilka lat później, po śmierci ojca, rodzina moja przeniosła się do Warszawy, gdzie możliwości mojego samouctwa ogromnie się rozszerzyły. Po pewnym czasie dostałem się tu w wir życia społecznego, artystycznego i politycznego, które pochłonęło mnie na dłużej, ale moja „ideja stała” skierowała mnie wreszcie ku studjom filozoficznym. Tu wkrótce natknąłem się na wiadomości o kulturze hinduskiej, które tak mnie zaciekawiły, że natychmiast w tym kierunku poszukiwania swoje zwróciłem. Tak dotarłem do religijnej filozofji wedyjskiej, owego najdawniejszego pomnika kultury aryjskiej, którego odblask pozostał w poemacie Bhagawadgita, oraz w niektórych Upaniszadach i w niektórych hymnach Rigwedy.

Zaznaczam, że najstarsze hymny Rigwedy powstały mniej więcej przed czterema tysiącami lat, w czasie, gdy twórcy ich — szczepy aryjskie, które z Europy środkowej (z nad Wisły), wywędrowały, dochodziły do porzecza Indu. Po okresie

wedyjskim (razem z posuwaniem się szczepów do Gangesu) nastąpił upadek kultury hinduskiej, który obejmuje całą epokę, zwaną brahminizmem, poczem dopiero, na pięćset lat przed erą chrześćjańską, powstał, jako odrodzenie, buddyzm — ta najwyższa religja istotnej, chociaż nie reklamującej się, miłości dla wszystkiego, co żyje.

Celem uniknięcia plotek zastrzegam się, że nie jestem „buddystą", ani (tembardziej!) „brahministą", ani wogóle jakimkolwiek „istą", a co do metafizyki wedyjskiej, to uznaję ją (nie ja jeden, zresztą,) za najwspanialszy wzlot ducha ludzkiego, ku zrozumieniu bytu i wszechświata dokonany. Wiadomo, że wnioski metafizyczne, z fizyki drobinowej i mechaniki niebieskiej obecnie przez najwybitniejszych myślicieli (w rodzaju Jeans'ów i Eddington'ów) wyprowadzane, mieszczą się całkowicie w teorji wedyjskiej, która, między innemi, głosi, że to, co nazywamy materją, zbudowane jest ze skupień eteru, a wszechświat jest myślą Boga (Brahmana). Od owych, tedy, czasów mojego życia, o których tu mowa, zajmowałem zasadnicze stanowisko metafizyki wedyjskiej (bez jej słownictwa, oczywiście, i bez innych właściwości jej epoki). Całą zatem historję filozofji europejskiej, a także rozwój nauk i wogóle — myśli nowożytnej, oceniałem ze szczytu (a słowa tego nie dla czczej przenośni używam) ze szczytu tych idei, które od wedyzmu przejąłem, albo pod jego wpływem w sobie ukształtowałem. Stąd też odkrycia, ideje i teorje współczesne, które uznaję za prawdziwe, witam z przychylnością, stwierdzającą, że to są konieczne i dobroczynne szczegóły, uzupełnienia i dowody słuszności tego systemu, który w syntetycznym zarysie aryjscy przodkowie nasi przed czterema tysiącleciami stworzyli.

Literackim owocem mojego zapoznania się z Wedami był jedynie, o wiele później (tuż przed wojną światową) dokonany przekład dwunastu hymnów Rigwedy, z których jedenaście (tu i ówdzie z błędami) drukował po wojnie światowej warszawski „Tygodnik Ilustrowany", a dwunasty umieściłem w „Myśli Narodowej". W rozmyślaniach swoich i poszukiwaniach metafizycznych czułem się całkowicie osamotniony, pozatem jednak najżywszy brałem udział w ówczesnym wielostronnym zgiełku studenckiego życia warszawskiego, co parokrotnie kończyło się więzieniem, ostatnio — w X pawilonie Cytadeli.

Po wyjściu z Cytadeli umknąłem za granicę, i tam, w Krakowie mianowicie, zacząłem pierwsze próby pisania prozą czegoś w rodzaju szkiców artystyczno-filozoficznych. Zanosiłem je do redakcji miesięcznika „Krytyka", której redaktorem był wtedy niejaki Ludwik Bruner, żyd — chemik i literat, pisujący pod pseudonimem Jan Sten. Ten otóż Bruner po kilkakroć zwracał mi moje rękopisy, a na ich marginesach stale znajdywałem jego uwagi pod postacią jednego tylko nazwiska: „Nietzsche"... W ten sposób po raz pierwszy w życiu z nazwiskiem Nietzschego się spotkałem. Zaciekawienie moje było duże, ale dopiero po wyjeździe na Żmudź, gdzie się ożeniłem, mogłem z Nietzschem się zapoznać. Żona moja, która znała język niemiecki (ja go nie znałem) sprowadziła z Niemiec „Zaratustrę", i z miejsca zaczęliśmy go tłumaczyć (żona tłumaczyła, a ja ujmowałem przekład we formę literacką). Tak powstał przekład nasz dzieła „Tak mówił Zaratustra", którego jednak nie można było wydać z powodu straszliwego pokaleczenia go przez cenzurę rosyjską. Przekład ten do dziś dnia leży u mnie w rękopisie.,. („gotowy do druku"...).

Nie będę ukrywał, że poznanie moje „Zaratustry" było nie tylko radosnem dla mnie, ale i tragicznem przeżyciem. Bruner miał słuszność: zbyt wiele było podobieństw pomiędzy mojemi a myślami autora „Zaratustry". Z tego powodu na czas dłuższy zupełnie pisać przestałem, a potem zwróciłem się wyłącznie do krytyki artystycznej i następnie — do sprawy żydowskiej. Obok wielkiego uznania miałem jednak względem Nietzschego od pierwszej chwili wiele zastrzeżeń krytycznych. Nie uważałem go za filozofa (którym nie był w istocie), ale za wielkiego moralistę, poetę i proroczego siewcę dążeń do stworzenia z ludzkości wyższego stworzeń gatunku. Sądzę, że jedynem dziełem jego życia jest „Zaratustra", reszta zaś — to błąkanie się i poszukiwania, których nie należy brać za podstawę do pozytywnej jego oceny. Jego ideję o nadczłowieku przyjąłem, jako zgodną z mojem poczuciem i rozumieniem, oraz jako leżącą w płaszczyźnie wielkiego systemu wedyjskiego i europejskiej teorji rozwoju życia organicznego. Tylko co do drogi, na której kiedyś ta przemiana gatunku się dokona, mam pogląd odmienny. Jego ideję „wiecznego powrotu" (wyrażoną w „Zaratustrze") znałem dawno z metafizyki wedyjskiej, a że Nietzsche nie podał źródła swojej idei, (bo chyba musiał o niem wiedzieć bodaj poprzez Schopenhauera...), więc byłem tem milczeniem zgorszony. Pozatem wiele mnie z nim różni poglądów ważnych, choć poszczególnych, o czem tu może kiedy osobno pomówię.

Pomimo wszystko z powodu wielu krzywd, często przez różnych ludzi z różnych środowisk Nietzschemu złośliwie wyrządzanych, gdzie się zdarzyło, tam w jego obronie gwałtownie występowałem. Między innemi w swoim czasie na tych tu łamach zdemaskowałem krzywdzący Nietzschego i skandaliczny przekład „Zaratustry" dokonany przez p. W. Berenta, przekład, który żydo-masonerja od lat trzydziestu reklamuje, jako „arcymistrzowskie arcydzieło przekładów".

Z tych zapewne względów, jak i ze względu na podobieństwa myślowe, których uniknąć nie mogłem, uzyskałem opinję nietzscheanisty. Nie więcej ona warta, niż dawna opinja kumoszek i świętoszków o mojem pogaństwie...

Co do mojego „bijologizmu rasistycznego" (określenie wyrobu p. Mosdorfa) z dodaniem łatki z nazwiskiem Matyldy Ludendorff i Kompanji, to naprzód łatkę, jako jedną z monet należnej mi odpłaty, bez protestu przyjmuję, a następnie zapytuję, czy wśród Polaków — odwiecznych rolników, hodowców i myśliwców znajdzie kto choć jednego „niebijologistę rasistycznego"? Któż lepiej, niż Polak od wieków zna cenę rasy, krwi, rodowodu, a więc — bijologji? Sprawa to przecie codzienna, w szkołach systematycznie wyjaśniana, powszechna i bezsporna! A co do mojej osoby, to skoro w pracach moich publicystycznych już najmniej od roku 1912 wciąż i na różne sposoby powtarza się mowa o rasie, to zatem nie ja od owych Niemców (jak by to mogło ze słów p. Mosdorfa wynikać), ale chyba Hitler i Ludendorffowie odemnie ideje te przyjęli? No, ale o tem jeszcze słówko powiem w odprawie dalszych „punktów

pomniejszych". Na razie stwierdzam, że główny atak mojego przeciwnika minął się z celem.

Wyprułem oto urywek jednej nitki, mniej nawet! jedno włókienko z urywka jednej nitki mojego życia umysłowego, aby przedstawić istotny charakter jednego okresu i tylko jednej poszczególnej dziedziny z moich rozmyślań i poszukiwań metafizycznych i filozoficznych. Mam wrażenie, że na podstawie nawet tak cząstkowej i mocno streszczonej opowieści mojej zasadnicze pomiary w odległościach i poziomach sporu niniejszego łatwo ustalić się dadzą.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

UPIOROWE MYŚLENIE

Panu Stanisławowi Ignacemu Witkiewiczowi, który wygłasza odczyty w „Warszawskiem Towarzystwie Filozoficznem".

DOLEGLIWOŚĆ od ciała jest to cierpienie od głodu, pragnienia, rany, zimna, oparzelizny. Jeśli człowiek jeszcze nie czuje cierpienia, ale widzi że ono zbliża się i patrzy naprzykład na narzędzia tortur, któremi ma być męczony, to można powiedzieć że strach przed tem cierpieniem jest to też cierpienie od ciała, choć jest to cierpienie od ciała pośrednio, bo strach jest to cierpienie, jak to nazywa się, psychiczne. Taksamo strach przed śmiercią, można powiedzieć, jest to dolegliwość od ciała, chociaż, ściśle biorąc, nie śmierć jest dolegliwością od ciała, a umieranie, toteż tutaj lepiej jest nazwać dolegliwością od ciała — pośrednią dolegliwością od ciała nie strach przed śmiercią, a strach przed umieraniem. Jeśli widzimy że ciała blizkich nam ludzi poddane są głodowi, zranieniu, czy śmiertelnemu zniszczeniu, to odczuwamy cierpienie i to cierpienie też można nazwać dolegliwością od ciała, choć też w drodze pośredniej, bo przez współczucie, czyli też, jak to mówi się, przez psychikę. Jednem słowem dolegliwość od ciała jest to wszelkie cierpienie, które człowiek może odczuwać dlatego że jest związany z ciałem i z życiem.

Dolegliwość od ciała jest to rzecz największą i najstraszniejsza dla wszystkich ludzi na ziemi od początku do końca świata. Dolegliwość od ciała jest to rzecz silniejsza niż troska od myślenia.

Jeśli dolegliwość od ciała jest to rzecz największa i najstraszniejsza dla wszystkich ludzi na ziemi i jeśli jest to rzecz większa niż troska od myślenia, to odrazu łatwo zrozumieć że myślenie musi być podporządkowane służeniu człowiekowi w ten sposób, żeby uchronić go od dolegliwości od ciała. I tylko takie myślenie które usiłuje uchronić człowieka przed dolegliwością od ciała jest to dobre myślenie i poważne, a każde inne myślenie jest to myślenie i błahe i niepoważne. Zasada ta obowiązuje bezwzględnie i nazawsze i niema błędu w powyższem rozumowaniu.

I wobec tego dobre i poważne myślenie jest to myślenie o tem jak zdobyć dla siebie i swoich blizkich pożywienie, odzież, dach, jak obronić siebie i swoich blizkich od nieprzyjaciela, jak uniknąć chorób, wyleczyć się od chorób i t. d., czyli, jednem słowem, myślenie, z krórego pochodzi cała wiedza, jak to nazywa się, praktyczna. Myślenie to jest bardzo dobre i bardzo poważne.

Jednak jeśliby człowiek był nawet bardzo pracowity i zapobiegliwy i jeśliby dzień i noc myślał nad tem jak zabezpieczyć siebie przed dolegliwością od ciała i jeśliby troszczył się jaknajpilniej o pożywienie, o bezpieczeństwo i o wszystko co jest potrzebne dla życia jego i dla życia jego blizkich, to i tak, wszyscy o tem dobrze wiedzą, gwarancji nigdy nie będzie miał, że nie przyjdzie na niego dolegliwość od ciała i z najstraszniejszą siłą. A zresztą od śmierci uwolnić się nie można. A wobec tego trzeba szukać jeszcze innych sposobów żeby uniknąć dolegliwości od ciała. I oto jest jeszcze jeden — drugi sposób zabezpieczenia siebie przed dolegliwością od ciała i sposób ten polega nie na dostarczaniu ciału tego co mu jest potrzebne, ale na odzwyczajaniu się od potrzeb ciała i na umartwianiu się. I oto myślenie o tem jak umartwiać i hartować siebie żeby uwolnić siebie od dolegliwości od ciała jest to myślenie bardzo dobre i bardzo poważne.

I oto są tylko dwa rodzaje myślenia, które są dobre i poważne, a mianowicie: 1) Myślenie o dostarczeniu ciału tego co mu jest potrzebne, żeby zabezpieczyć się od dolegliwości od ciała i 2) Myślenie o odzwyczajeniu się od potrzeb ciała, żeby też zabezpieczyć się od dolegliwości od ciała.

Które z tych myśleń jest lepsze — trudno powiedzieć, bo jedno i drugie jest potrzebne, ale żadne z nich nie jest wystarczające i choć jest pomiędzy niemi pewna sprzeczność, człowiek powinien je umiejętnie godzić ze sobą i posiłkować się jednem i drugiem. Wszelkie inne myślenie czyli myślenie, które nie ma związku z potrzebami naszego ciała i nie ma na celu zabezpieczyć nas przed dolegliwością od ciała jest błahe i niepoważne i prawda ta, jak już było powiedziane, obowiązuje nazawsze.

* * *

Dolegliwość od ciała jest to rzecz największa i najstraszniejsza dla wszystkich ludzi na ziemi od początku do końca świata. Ale ludzie, co wierzą w Pana Boga i w duszę nieśmiertelną, wierzą że dolegliwość od ciała jest to rzecz największa i najstraszniejsza, ale tylko dopóty dopóki człowiek ma ciało, ale że dolegliwość od ciała nie jest to rzecz największa i najstraszniejsza w o g ó l e i dlatego wymagają od siebie gotowości do ofiary i męczeństwa, choć to i jest jakgdyby połowiczna niekonsekwencja, bo tymczasem dopóki człowiek ma ciało, nawet i najmocniej religijny człowiek czuje w sposób bardzo oczywisty, że dolegliwość od ciała to rzecz najważniejsza i najstraszniejsza, atoli ludzie, co mówią że nie wierzą w Pana Boga i w duszę nieśmiertelną, co zawiedzeni w swojej ufności wyłącznie kierują się

rozumem i opierają się tylko na tem co sami mogą poznać i ogarnąć, ludzie, co usiłują być ultrauczciwi, ultrarealni, ci w odróżnieniu od poprzednich, wierzących muszą koniecznie zgodzić się z tem, że dolegliwość od ciała jest to rzecz największa i najstraszniejsza nietylko tak jak dla ludzi religijnych, ale i w o g ó l e. Gdy człowieka religijnego spotka dolegliwość od ciała, to wówczas on z łatwością może stracić wiarę, bo dolegliwość ta jest większa od myślenia i od wiary, jednak gdy dolegliwość minie, to wiara znowu wraca, ale człowiek co nazywa siebie niereligijnym i podczas cierpienia od ciała i po cierpieniu zawsze musi być taki sam, zawsze musi być konsekwentny i zawsze musi taksamo dobrze wiedzieć i pamiętać, że dolegliwość od ciała to jest rzecz największa i nastraszniejsza i że jest daleko silniejsza niż troska od problemów filozoficznych. I dlatego jeśli poświęcenie się i męczeństwo człowieka religijnego jest to połowiczna niekonsekwencja, bo jest to zgodne z wiarą i rozumem, ale wbrew oczywistemu odczuciu, to poświęcenie się człowieka niereligijnego i materialisty dla idei, czy czegoś takiego jest to kompletna niekonsekwencja i jest to rzecz niegodziwie głupia, bo jest to rzecz i wbrew rozumowi i wbrew oczywistemu odczuciu.

Ludzie religijni oprócz tych dwuch powyżej przytoczonych rodzajów myślenia, czyli o dostarczeniu ciału tego co mu jest potrzebne i o odzwyczajeniu się od potrzeb ciała, żeby uniknąć dolegliwości od ciała, mają możność i obowiązek posiłkować się jeszcze trzecim rodzajem myślenia, a mianowicie myśleniem o tamtym świecie. I chociaż dolegliwość od ciała jest to rzecz największa i najstraszniejsza i jest większa od wszelkiego myślenia i nawet od myślenia o Panu Bogu, to jednak człowiek religijny usiłuje wszystko co jest, czyli że i te rzeczy największe i najstraszniejsze i zupełnie oczywiste uzależnić od rzeczy, które są (tymczasem) słabsze, mgliste i nie tak wyraźne, czyli od Pana Boga i tamtego świata.

Jednak jeśli artykuł niniejszy zwrócony jest do ludzi niereligijnych, to w takim razie poucza się ich tu kategorycznie, że pozwolone jest im myśleć tylko o dwuch rzeczach, a mianowicie, jak już było napisane, albo o dostarczeniu ciału tego co mu jest potrzebne, albo o odzwyczajaniu się od potrzeb ciała.

* * *

Teraz trzeba popatrzeć na ludzkość i zapytać się: czy ludzkość myśli tylko o tem o czem powinna myśleć? Zgodnie z podanem tu pouczeniem ludzkość powinna myśleć tylko albo o tamtym świecie, albo o zabezpieczeniu siebie od dolegliwości od ciała w dwojaki sposób, to znaczy albo przez zadośćuczynienie potrzebom ciała, albo przez odzwyczajanie się od potrzeb ciała. I oto ze zdziwieniem stwierdza się że oprócz myślenia o tamtym świecie i myślenia o zabezpieczeniu siebie od dolegliwości od ciała w dwojaki sposób ludzkość dużo myśli jeszcze i o innych rzeczach.

I, jak wiadomo, są rozmaite nauki i nauki te są zapisane w książkach i są wykładane na uniwersytetach i są przekazywane z pokolenia na pokolenie i wiele z nich wcale nie uczą ani o tamtym świecie ani o zabezpieczeniu się od dolegliwości od ciała w dwojaki sposób. Można tu mówić o matematyce i o przyrodoznawstwie, bo na tych naukach dobrze widać, że nie jest to myślenie ani o tamtym świecie, ani o zabezpieczeniu się od dolegliwości od ciała w dwojaki sposób, a ludzie lubią być specjalnie dumni właśnie z tych nauk i nazywają je „naukami ścisłemi”, czyli jakgdyby prawdziwemi. I oto teraz trzeba zapytać się ze zdziwieniem dlaczego są takie nauki, dlaczego jest możliwa taka jakaś wiedza bezinteresowna i nie dająca pożytku człowiekowi? Trzeba też zapytać się ze zdziwieniem dlaczego było tak dużo w Europie t. zw. filozofów, niemieckich i nieniemieckich, którzy tak uporczywie ślęczeli nad badaniem rozumu ludzkiego, ale jakoś żadnemu z nich nie starczyło rozumu i talentu by poprostu pomyśleć nad tem dlaczego wogóle jest rozum i myślenie i dlaczego to jest możliwe że spotyka się takie jakieś dziwne myślenie, które nie jest ani myśleniem o tamtym świecie, ani nie jest myśleniem dla zabezpieczenia człowieka od dolegliwości od ciała? Dlaczego żadnemu z tych badaczy nie przyszło do głowy stwierdzić że rozum i myślenie nie mogą być traktowane jako rzecz suwerenna i niezależna, bo ból zęba jest większy niż myślenie, bo ból ciała jest większy niż wszystkie ich filozofje bez talentu? Ból ciała jest większy i od Pisma Świętego, ale Pismo Święte informuje o tamtym świecie i naucza co trzeba robić żeby być zbawionym i żeby nie czuć bólu ani zęba, ani żadnego — więc Pismo Święte jest usprawiedliwione. Na zapytanie dlaczego jest możliwa taka jakaś dziwna, bezinteresowna wiedza, taka więc jak matematyka, albo przyrodoznawstwo, czasami otrzymuje się odpowiedź że dlatego jest możliwa taka wiedza i dlatego powinna być dozwolona, że z niej pochodzi wiedza praktyczna i wszystkie pożyteczne umiejętności i wynalazki, które ułatwiają życie i skutecznie chronią człowieka przed dolegliwością od ciała, atoli takiej odpowiedzi przyjąć nie można, bo wszyscy wiedzą, że nauki czyste powstają samorzutnie bez oglądania się czy będzie z nich jakiś pożytek praktyczny i można wyrazić się że korzyści praktyczne płynące z nauk, to tylko tych nauk produkt poboczny. Inni znów tłumaczą że człowiek ma wrodzoną ciekawość i dlatego musi czynić rozmaite badania, ale i takie tłumaczenie jest niedopuszczalne, bo właśnie oto i trzeba wiedzieć dlaczego możliwa jest w człowieku taka ciekawość i czy ciekawość ta jest godziwa, czy nie jest godziwa, czy winna być pobudzana, czy winna być powściągana i czy ciekawość ta jest dość poważna, bo życie jest bardzo groźne i bardzo poważne i na próżną ciekawość i na zabawę nie ma czasu człowiek, który zwisa nad przepaścią. Jednem słowem te odpowiedzi nie zadawalają i nie wyjaśniają dlaczego są nauki i pochodzenie nauk jest tajemnicze i wymaga wytłumaczenia. Trzeba też dodać że ludzie zajmują się naukami od zamierzchłej starożytności i często bywa że uczony to dobry i zacny człowiek, a zresztą i niejedna prawda naukowa samo przez się wydaje się poważna i godziwa i dlatego nie można uchylać się od tłumaczenia dlaczego są nauki i nie można zbyć to zagadnienie w sposób lekceważący i odrzucić je i powiedzieć że nauki jest to rzecz czcza i niepotrzebna. Oprócz tego te prawdy naukowe tembardziej wydają się dobre i ważne że są bardzo trwałe i tak więc naprzykład bogowie greccy z Zeusem na czele musieli odejść, otrzymali dy-

misję niby jakiś gabinet ministrów i musieli ustąpić miejsca chrześcijaństwu, a geometrja jaka była w Grecji, taka jest i teraz i taksamo jak wówczas, taksamo i teraz króluje ta sama, dajmy na to, prawda że suma kątów w trójkącie równa się dwum kątom prostym.

I oto więc trzeba zapytać się, dlaczego są nauki, bo to nie jest ani myślenie o tamtym świecie, ani myślenie o zabezpieczeniu siebie od dolegliwości od ciała w dwojaki sposób. Odpowiedź na zapytanie dlaczego są nauki powinni dać uczeni, bo obowiązkiem uczonych jest wiedzieć dlaczego naukami zajmują się. Ale ponieważ uczeni dzisiejsi chyba nie dadzą na to odpowiedzi, więc zastąpimy ich w ich obowiązkach i postaramy się wyjaśnić dlaczego są nauki.

Odpowiedź na zapytanie, dlaczego są nauki jest następująca: nauki są dlatego że ten świat jest jakgdyby odbiciem tamtego świata i dlatego badanie tego świata jest jakgdyby badaniem tamtego świata i dlatego badanie tego świata jest to też jakgdyby nauka teologiczna. Jeśliby ten świat nie był odbiciem tamtego świata i jeśliby nie był do niego podobny, to nie plątałyby się w oczach człowieka rzeczy z tego świata z rzeczami z tamtego świata — a plączą się. Naprzykład niebo z tego świata, czyli błękit firmamentu, albo nocne niebo z gwiazdami miesza się w oczach człowieka i w duszy z niebem z tamtego świata. To widać chociażby w tem że język polski i inne języki europejskie mają tylko jedno słowo dla nazwania tych dwuch rzeczy, a więc: *niebo, das Himmel, ciel.* Tylko język angielski dla nazwania nieba tutejszego i nieba z tamtego świata ma dwa słowa: *sky i haeven.* [1]) Splątanie się w świadomości człowieka nieba tutejszego i tamtejszego widać i w tem że na obrazach Pana Boga i aniołów maluje się poprostu wśród chmur. I oto jeśli ktoś nie może zajmować się teologją i badać nieba z tamtego świata, bierze zastępczo teleskop i wpatruje się w jego odbicie i studjuje astronomję. Kopernik w przedmowie do swojej książki *„De revolutionibus orbium coelestium"*, która zawiera może najważniejsze odkrycie naukowe na wszystkie czasy, uzasadnia pożyteczność astronomji trochę inaczej i pisze że nauka ta myśl ludzką odwodzi od zdrożności, badacza zagrzewa do cnoty i przejmuje podziwem dla Stwórcy, ale, zdaje się, takie uzasadnienie ważności astronomji nie jest jeszcze pełne. Bo takie uzasadnienie wystarcza tylko na to żeby astronomją zajmować się, bo z niego widać tylko to że zajmowanie się astronomją, spełnianie funkcji astronoma umoralnia człowieka, atoli takie uzasadnienie nie tłumaczy że ważny jest dla człowieka sam przedmiot astronomicznego poznania. Z takiego uzasadnienia można byłoby sądzić że prawdy astronomiczne są mniejszej wartości i są jakgdyby tylko dodatkiem przy spełnianiu wzniosłej i umoralniającej funkcji kontemplowania gwiazd i czuwania po nocy. I oto dlatego żeby w sposób wyczerpujący wytłumaczyć że astronomja jest ważna, trzeba koniecznie przyjąć że niebo astronomiczne jest jakgdyby odbiciem nieba z tamtego świata. Ogólnie o poznawaniu przyrody można powiedzieć, że jeśli ten świat nie jest odbiciem tamtego świata i jeśli nie ma pokrycia w tamtym świecie, to ten świat nie jest wart miłości i nie warto go badać, bo w takim razie jest to tylko proch i licha doczesność, fikcja, czek bez pokrycia. Ale podobieństwo tego świata do tamtego podnosi go do rzeczy godnej miłości i godnej poznawania. A podobieństwo tego świata z tamtym jest bo jest zmieszanie się tego świata z tamtym w oczach człowieka we wszystkiem, w rozmaitych rzeczach. A więc naprzykład góra i dół — jest to większe i mniejsze oddalenie od środka ciężkości ziemi, a oprócz tego taksamo oznacza to we wszystkich chyba językach ludzkich większą i mniejszą doskonałość duchową. [2]) I zresztą widać że można i trzeba kochać ten świat, bo naprzykład artyści malarze z miłości imitują przyrodę i to dobre daje rezultaty. Rozmyślanie tu jest takie: sztuka jest to bardzo ważna i dobra rzecz (czujemy to bezpośrednio), a sztuka pochodzi z miłosnego imitowania przyrody, a wobec tego trzeba kochać ten świat, ale kochać ten świat można tylko pod tym warunkiem, jeśli jest on odbiciem tamtego świata, a wobec tego trzeba też przyjąć że ten świat i rzeczywiście jest odbiciem tamtego świata. Jeśli przyjąć że ten świat jest to odbicie tamtego świata, to bardzo łatwo wytłumaczyć co to jest sztuka (a inaczej niepodobna), a mianowicie: sztuka jest to wynajdywanie w danym modelu i wyjmowanie z niego tej jego części, która jest z tamtego świata i okazywanie jej i dlatego sztuka ma takie wielkie znaczenie dla duszy człowieka, bo to jest patrzenie w tamten świat, patrzenie przenikliwe, patrzenie, jak to mówi się, metafizycznie. A jeśli przyjąć że ten świat jest to zupełnie co innego niż tamten i że jest zupełnie do niego niepodobny i że jest to tylko zło konieczne i że jest to tylko miejsce chwilowego uwięzgnięcia duszy, to wówczas, oczywiście, nie można do niego odnosić się inaczej jak tylko z niechęcią i lekceważąco i wówczas nie jest możebne wytłumaczyć dlaczego jest sztuka i nauka.

UWAGA DODATKOWA. W rozmyślaniu tem napisano że można i trzeba odnosić się do tego świata z sympatją i że można i trzeba kochać ten świat, bo jest on podobny do tamtego świata, ale teraz trzeba dodać że ten świat trzeba też i nienawidzieć i że trzeba brzydzić się nim, bo ten świat jest nietylko podobny do tamtego, ale jest i niepodobny do tamtego. Z sympatji do tego świata powstaje sztuka, nauka i wiele innych dobrych rzeczy, a z nienawiści rozmaite pokutnictwo i jedno i drugie traktowanie tego świata uwieńczone bywa jaknajbardziej dodatniemi rezultatami i dowodzą tego liczne przykłady zaczerpnięte z historji Europy i z historji innych kultur. Uwaga ta jednak jest tylko dodatkowa, bo celem tego rozmyślania jest tylko wyjaśnić dlaczego są nauki.

I oto właśnie, jak teraz widać, nauki są dlatego że ten świat jest to odbicie tamtego świata i oto rozmyślanie powyższe jest to wytłumaczenie dlaczego są nauki.

---

[1]) Anglikom widocznie gorzej miesza się w ich chłodnych oczach ideał z materją i może dlatego przynieśli oni znacznie skromniejsze dary do skarbnicy malarstwa europejskiego niż inne wielkie narody.

[2]) W związku z tem można łatwo zrozumieć wartość duchową wrażeń pejzażu górskiego, który ciągle podnieca poczucie wysokości i pożytek moralny z wspinania się na szczyty. Nie bez znaczenia jest też to, że Męka Pańska była na górze. Wszelako sport taterniczy i piękno gór i głębię ich przepaści wyzyskałoby się w całej pełni wówczas dopiero, jeśliby myślało się czasami wchodząc na wierchy, że czyni się to na pamiątkę wchodzenia na Golgotę.

Wytłumaczenie to, zdaje się, jest dobre, ale może być że można byłoby trochę inaczej wytłumaczyć dlaczego są nauki. Zresztą tłumaczenie to odnosi się jakgdyby tylko do nauk przyrodniczych i do sztuki malarskiej, względnie rzeźbiarskiej, czyli do sztuki imitującej przyrodę, natomiast tłumaczenie to musiałoby być napisane trochę inaczej, jeśliby miało być zastosowane do matematyki, czyli do nauki, która nie zajmuje się badaniem przyrody i do sztuki nie imitującej przyrodę, czyli takiej jak architektura, muzyka, taniec. Jednak nie chodzi tu o szczegółowe badanie tych zagadnień.

(Dok. n.) LEON MACIAŃSKI

ZIELONA CISZA

Veni, Sancte Spiritus, reple tuorum corda
fidelium et tui amoris ignem in eis accende.
Emitte Spiritum Tuum et creabuntur,
Et renovabis faciem terrae.

Zielona cisza wonna tatarakiem,
Poważna w sosnach, w brzozach uśmiechnięta,
A rozmarzona bzu kwitnącym krzakiem —
Zielona cisza i Zielone Święta!

Cisza — a wróbli rojne świergotanie,
Cisza — a wilgi płynne fioritury,
Cisza — kukułki głos, koguta pianie,
Cymbałki, flety kapeli pstropiórej.

Cisza — a tylko wiatr liśćmi porusza
Na rozjarzonym błękitnym tle nieba,
Cisza — a tylko w sercu bije dusza,
Co sama nie wie, czego jej potrzeba.

Nagle szum jakby strasznej nawałnicy
I przez pogodne modre firmamenty
W burzy piorunów, w blaskach błyskawicy
Na ziemię spada srebrny ptak — Duch Święty.

. . . .

Niech siedmiorakie spłyną na nas dary
Za Twą przyczyną, Boska Gołębico,
W sercach miłości niech zapłoną żary,
A starej ziemi odnowi się lico!

ARTUR CHOJECKI

Mądralin, Zielone Święta 1938

GŁOSY

UNDO I UON

O ŻYCIU i śmierci pułkownika Konowalca pisano już wiele. Ale źle pisano i niewłaściwie.

To prawda, że płk. Konowalec był nieprzejednanym wrogiem Polski i że jej więcej nadokuczał, niż zrobił krzywdy, ale wszystko powyższe nie upoważnia jeszcze do przedstawiania szefa UON czy UOW w świetle identycznem ze światłem, w jakiem się ukazuje zwykłych opryszków. Płk. Konowalec opryszkiem nie był, ale terrorystą.

Ciekawe, zaiste, zjawisko. Od lat niemal dziecięcych przeciwstawiał się każdemu poczynaniu ukraińskiej pracy narodowej jako zbyt mało skrajnej — począwszy od czasów szkolnych i studenckich, po rozprawę z hetmanem Skoropadskim. Było to przeciwstawianie się polityce UNDA.

Przeciwstawianie się czy uzupełnienie?

Jest to dla nas zagadnienie ciekawe, dla ruchu ukraińskiego zaś kapitalne.

Możemy stać na stanowisku uznającym istnienie narodu ukraińskiego, możemy też obstawać za tem, że nie istnieje. Ale niewątpliwie dla tych, którzy uważają się za ukraińców, dylemat: linia UON czy linia UNDA, jest zagadnieniem wagi największej.

Praca organizacyjna, polityka oparta na budzeniu ducha narodowego i jego kultywowaniu, przeprowadzenie wielkiej linii, opartej o procesy historyczne, aż do przyjaznej koniunktury, którą należy w pełni wyzyskać — oto zadanie UNDA.

Nerwowa szarpanina, znaczona aktami terroru: ukrytym strzałem, sabotażem, ogniem zaprószonym w polskim dworze, czy polskiej wsi, jakiś brak wiary połączony w całość z fanatyczną wprost wiarą i jedno i drugie zezwalające na nonsens jako metodę — oto zadanie UON.

UNDO ma reprezentować rozum, logikę postępowania; UON wyrazem jest uczucia. Jakiego uczucia? Przedewszystkiem nienawiści, nienawiści, która stanowi impuls do chęci wywierania zemsty.

Bojowcy UON to mściciele. Mszczą się za swą pozycję historyczną, za swe polityczne niedołęstwo, brak państwowości, za swój kompleks niższości narodowej nacji, której istnienie nawet jest kwestionowane.

Akty terroru prowokują kontrterror. Kontrterror w metodach i skutkach silniejszy, bo oparty o zorganizowany aparat państwowy, przykładem chociażby udany zamach na płk. Konowalca dzieło agenta GPU. W rezultacie zetknięcie się dwóch sił, przynosi szkodę społeczeństwu ukraińskiemu.

Każdy akt terroru bojowców z UON przypomina swemu narodowi o jego położeniu, pozycji. I tu jego pozytywna dla ruchu ukraińskiego rola. Wielkość ofiar przywódców karmem jest mas narodowych już uświadomionych. W tym punkcie uzupełnia się akcja UON z akcją UNDA. Ale ów bezsens terroru koliduje aż nadto z rozumową koncepcją UNDO-wą, przeszkadza jej w wielu wypadkach, nawet irytuje.

Zabity płk. Konowalec pragnął, akcji swej odebrać cechę odruchów mścicielskich, a nadać jej wszelkie cechy akcji planowej, której celem niezawistość państwowa. Stąd poszukiwanie gwarantów tej niezawisłości, stąd też tragedia oddawania się w służbę wszystkich, którzy nienawidzą albo Polski albo Rosji. Oddawanie się w służbę innych stanowiło nic innego, jak tylko wykonanie czyichś planów i koncepcyj, o czem płk. Konowalec zdawał się nie wiedzieć. Zginął z paszportem w kieszeni wystawionym przez republikę czechosłowacką. Korzystał z pieniędzy niemieckich i litewskich. Każda koncepcja, byleby biła w Polskę a również i Rosję, była dla niego do przyjęcia. Stąd coś, co miało cechy politycznego kondotierstwa.

Płk. Konowalec przedstawiał zjawisko naprawdę ciekawe. Był — trzeba przyznać — terrorystą wspaniałym, uprawiającym terror na szeroką skalę przed przyjściem do władzy.

Czyżby do niej doszedł? Wszystko, oczywiście zależy od koniunktury politycznej międzynarodowej, przygotowania do niej społeczeństwa ukraińskiego i jej w pełni wyzyskania. Tak rozumuje UNDO i do tej chwili bliskiej czy odległej, czy takiej, która nigdy nie nadejdzie — mniejsza zresztą o to — się przygotowuje.

Teoretyzujmy: gdyby się udało polityce ukraińskiej doprowadzić do własnego, niezawisłego państwa, zasługi UNDA byłyby przemilczane, zasługi natomiast UON wyolbrzymione. I nie ludzie UNDA rządziliby krajem, ale terroryści z UON, płk. Konowalec.

Na poparcie swego zdania mamy analogie historyczne.

POLACY NA OBCZYŹNIE

MAMY przed sobą zeszyt poświęcony pierwszemu Kongresowi Polskiemu w Niemczech, który odbył się dnia 5 marca 1938 r. Po wielu, wielu latach dane było Polakom zebrać się razem, aby zadokumentować swą polskość przed całym światem. Przyjechali liczni przedstawiciele Śląska, Westfalii, Nadrenii, Ziem Połabskich, Warmii, Kaszub, południowego Pogranicza i Strajny. Kongres urządzony był w Berlinie, w sali Volksteatru przez Związek Polaków w Niemczech, na którego czele stoi ksiądz Bolesław Domański, który też zebranie otworzył mową, nacechowaną gorącą miłością kraju, wiarą w jasną przyszłość Ojczyzny.

Następnie dr. Jan Karczmarek [1]) w przemówieniu swem skreślił działalność Związku za lat 15, tj. odkąd Związek istnieje, a więc prowadzenie 58 szkół, 145 kursów języka polskiego, 28 ochronek, 2-ch gimnazjów, stworzenie Banku Słowiańskiego z kapitałem $19^1/_2$ milionów rm. i podtrzymywanie wielu banków ludowych i rolniczych.

Jednym z najciekawszych momentów Kongresu była mowa Michała Pankiewicza, wiceprezesa Światowego Związku Polaków z Zagranicy. Przypomniał o Polakach, rozsypanych na całym świecie w liczbie 9 milionów, z czego $5^1/_2$ miliona przypada na Stany Zjednoczone Ameryki Półn., gdzie „żaden bodaj inny naród nie ujawnia takiej prężności i takiego rozrostu jak nasi rodacy". Mówił też o Polakach-pionierach, którzy w Ameryce Południowej: Brazylii, Argentynie i Chili w dziewiczych puszczach stwarzali nowe życie i pozakładali liczne osiedla.

Tu Polak - rolnik, wykazał swe wielkie zdolności: pracowitość, wytrwałość, dzielność w walce nieraz bardzo ciężkiej. Podobne zalety wykazuje Polak - górnik, który w Westfalii, Francji, w ciężkim trudzie pracował w podziemiach, zdobywając dla siebie najlepsze imię, najpochlebniejszą opinię.

Francja i jej rozbudowane prowincje ile zawdzięczają wielkiej, sumiennej, pełnej zaparcia pracy polskiego robotnika! Górnicy-Polacy także i w Holandii stali się „najlepszymi ambasadorami sprawy polskiej", choć ich jest zaledwie 3 tysiące, ale swemi niezwykłemi zaletami zdobyć potrafili szacunek u Holendrów.

Zgromadzenie przedstawicieli ludu polskiego w licznym Kongresie Berlińskim i oświetlenie wysokich walorów tego ludu, który w najcięższych chwilach dziejowych wykazuje wytrwałość, siłę i patriotyzm, budzi niewątpliwie wiarę głęboką w wartości narodu polskiego, a co za tem idzie i w jego wielką przyszłość.

[1]) Kierownik naczelny Związku Polaków w Niemczech.

Z OBCEGO ŚWIATA

„JE SUIS PARTOUT"

O ŻYDACH

JEST rzeczą niezmiernie smutną, która w następstwach może się okazać nawet tragiczną, iż ogół społeczeństwa mało, albo i wcale nie interesuje się sprawami politycznemi, choć przecież polityka stała się dziś życiem samem. Nie czytujemy wiele, albo jakże mało i jak powierzchownie. Jeśli chodzi o pisma zagraniczne, ignorancja jest zupełna. Są pisma Warszawskie, przedrukowujące wiadomości z pism masońskich, a publiczność czyta, nie orientując się zgoła jakie jest źródło tych wiadomości. Nieraz poprostu ludzie powołują się, że to lub owo wyczytali w pismach „francuskich", t a k jakby we Francji nie istniały różne prądy i kierunki! Wprawdzie u nas nie wszystkie pisma wartościowe mają debit, gdy taką „*Humanité*" lub „*Populaire*" można nabyć na każdym rogu ulicy, tak więc jest przeszkodą w orjentacji trudny dostęp do pism narodowych zagranicznych.

Dlatego chcielibyśmy czytelnikom zwrócić uwagę na tygodnik francuski „*Je suis partout*", który może być cennym przewodnikiem dla ludzi szukających informacji właściwych.

Jak nazwa wskazuje jest on rzeczywiście wszędzie. Pierwszorzędne pióra i to pióra ideowe dają czytelnikowi całokształt wydarzeń na całym świecie. Pisarzem politycznym naczelnym jest znany historyk Paweł Gascotte, dzielnie sekundują mu Rabatet, Consteaux, Jeantet, Dorsay, aby wymienić najważniejszych. Naczelnym redaktorem jest Robert Brasillach, znany krytyk literacki, dział literatury prowadzą również wybitni krytycy Bellessort i Brumt, dział teatru Lambreaux.

Jeden z ostatnich numerów poświęcony był całkowicie kwestii żydowskiej, opracowany nieomal wyłącznie przez Rabatet'a, pisarza młodego, pełnego polotu i zapału. Numer ten zawiera niezmiernie wiele cennego materiału, wprost rewelacyjnego. Omawia sprawę żydowską we wszystkich krajach, najciekawsze światło rzuca na stosunki amerykańskie i angielskie, odsłaniając ukryte sprężyny działań wszechświatowych. Dla nas jest specjalnie interesujący ten numer ze względu na artykuł, dotyczący sprawy polskiej. Warto się zapoznać z tygodnikiem „*Je suis partout*".

NAUKA I LITERATURA

„MASZYNA DO CZYTANIA MYŚLI"

JUŻ KIEDYŚ przed laty Maurois w pewnej fantastycznej noweli podał sposób ważenia duszy w chwili, gdy się uwalnia od ciała. W obecnej powieści [1]) nie mniej fantastyczny podejmuje temat — sfilmowania naszych marzeń, obrazów psychicznych oraz sfonografowania naszej wewnętrznej rozmowy. Przy pomocy tedy psychografu — tak się ta nowa maszyna nazywa — będziemy mogli wydobyć z człowieka najtajniejsze myśli i zamiary, będziemy mogli je unicestwiać, zapobiegać zdarzeniom. Zdawałoby się tedy, że wynalazek ten uprości i ułatwi współżycie ludzkie. — Cóż? Kiedy każdej akcji odpowie reakcja...

[1]) André Maurois: Maszyna do czytania myśli. Warszawa 1938. Tow. Wyd. „Rój". Z upoważnienia autora przełożyła H. H. Str. 220 + 2 nlb.

Wprawdzie bohater powieści, Dionizy Dumoulin, wyszedł w pierwszym wypadku psychografowania obronną ręką — zbyt kochał swą żonę, Zuzannę, by pozory mogły ich rozłączyć. Właśnie pozory... Rozmyślania snute dzięki prostym skojarzeniom wyobrażeń nie noszą na sobie cechy odpowiedzialności, pozbawione są bowiem wszelkiego oporu. Co najwyżej chodzić może o sądzenie a nie chcenie. I właśnie takie sądzenie, takie obrazy wcale nam o istocie człowieka nic nie mówiły. Obrazy — a więc i obrazy senne, którym aż tyle wagi przypisywał Freud. Widzę więc w tej powieści pośrednią, ironiczną a bardzo subtelną krytykę freudyzmu, co zresztą zgadza się z sądami wielu krytyków freudyzmu, zwłaszcza lekarzy.

Dumoulinowi drugim razem nie udało się już tak łatwo z psychografem. Szwagierka jego p. Lemonnier odkrywszy siebie dzięki maszynie, skończyła samobójstwem. Fakt ten bolesny do reszty otrzeźwił Dionizego.

To nie jedyna sprawa w powieści, są inne nie mniej subtelnie i ironicznie przedstawione. To szał sportu wśród studentów amerykańskich, to uniwersytety same, wśród których znajdą się i poważne oraz zasłużone, ale i takie, które będą parodią kultu nauki które wygłaszają takie wykłady jak „Teoria reklamy", kurs sporządzania lodów i t. p. Doskonałe obrazki z życia towarzyskiego w Ameryce i Francji, statecznie racjonalistyczny duch i sceptyczny Francuzów oprze się nowości amerykańskiej, naiwnemu materializmowi i nie mniej naiwnej wierze, że stosunki ludzkie można z łatwością uprościć.

Grodzisk Wielkopolski JAN ŚWIERZOWICZ

MAURRAS AKADEMIKIEM

Do Akademii Francuskiej został wybrany 9-go b. m. na fotel opróżniony przez śmierć Henri-Roberta, (znakomitego przedstawiciela adwokatury) Karol Maurras 20-ma głosami przeciw 12-u, które otrzymał znany poeta, F. Gregh.

Sprawiedliwości słowem stało się wreszcie zadość, już bowiem w 1909 roku kandydatura Maurras'a do Akademii była wysunięta przez świat dziennikarski, który postawił go wówczas na pierwszym miejscu, nawet przed Clemenceau, Maret'em i in. znakomitościami. Następnie w 1922 r. sam Maurras kandydował do akademii, ale „nieśmiertelni", ulegając naciskowi lewicowych sfer politycznych, wybrali zamiast niego Jonnart'a, polityka o którym dzisiaj świat zupełnie zapomniał. Obecnie stosunki w łonie Akademii znacznie się zmieniły, weszło do niej w ostatnich czasach kilku prawdziwie wybitnych pisarzy (Bellesort, Bonnard, Jaloux, Cl. Farrère i t. d.), a nadto kontrkandydaci Maurras'a sami wycofywali swoje kandydatury, żeby mu wybór zapewnić, w ten sposób uczcić nietylko jednego z najświetniejszych pisarzy Francji wszelkich czasów, lecz i wielkie jego zasługi obywatelskie oraz 50-letnią pracę — niezależną i bezinteresowną dla dobra własnego narodu.

O Karolu Maurras'ie znakomitym publicyście francuskiego obozu nacjonalistycznego, poecie a także świetnym krytyku literackim pisaliśmy niejednokrotnie w „Myśli Narodowej", dziś więc nie powtarzamy tego wszystkiego, zaznaczając tylko, że Akademia Francuska, jako strażniczka dóbr kulturalnych Francji, pozyskała w nowym „nieśmiertelnym", niewątpliwie jednego z najzasłużeńszych ich rzeczników.

Z okazji wyboru Maurras'a pragniemy przytym nadmienić, że pisarzowi tej miary należałoby się trochę uwagi także ze strony naszych wydawców. Wśród licznych dzieł Maurras'a (literackich, politycznych, filozoficznych) jest niemało takich, jakie w czasach bezładu i rozstroju kulturalnego, z prawdziwym zadowoleniem wziąłby do rąk czytelnik polski.

RUCH WYDAWNICZY

Jan Wszebor „Głos krwi i ziemi." Powieść z życia Mazurów. 1938. Nakładem Biblioteki dobrych książek. Łomża. Str. 228.

Jest to właściwie rodzaj pośredni między powieścią a popularnem dziełkiem z dziedziny geografji i historji. Wszystko w nawiązaniu do aktualnych lub niedawnych wydarzeń. Całość ożywiona patriotyczną troską i rozumną myślą polityczną. Wiele przytem sentymentu do naszej przeszłości oraz rozmiłowania się w mazurskim krajobrazie, tych pagórkowatych i jeziornych okolic u północnych polskich rubieży.

Jesteśmy na t. zw. Mazurach pruskich, obszarze zaprzepaszczonym podczas pamiętnego plebiscytu, zamieszkałym przez ludność polską, mówiącą djalektem mazurskim. Dziwnie się tam kojarzy polskość nazwisk, mowy i obyczaju z niemieckiem poczuciem narodowem, zwłaszcza u najmłodszego pokolenia, przebywającego nieuchronnie okres przymusowego niemczenia w szkole i licznych organizacjach społecznych i sportowych. Potrzeba nieraz bardzo dramatycznych wydarzeń, ukazujących w jaskrawem świetle niedolę ginącego dla polskości mazurskiego plemienia, aby poruszyć zatwardziałe serca i przebić skorupę tendencyjnie antypolskiej argumentacji, odkryć gdzieś w najtajniejszych głębinach duszy niezagubiony „głos krwi i ziemi."

Obserwujemy na kartach niniejszej książki proces podobnego, zresztą bardzo powolnego, odradzania się młodego chłopa z Mazur, Janka Łady, który od zagorzałego pruskiego militarysty, żołnierza z pod Verdun, a później członka bojówki *Heimatdienst'u*, przebył ogromną ewolucję aż po karjerę polskiego działacza na zagrożonym terenie. Późniejsze swe, narodowe przekonania Janek pieczętuje niejednokrotnie, krwią nawet.

W pouczające dzieje tego „trudnego żywota" wpleciono dla urozmaicenia motyw miłosny, i to aż w trzech różnych warjantach. Coprawda, nie brak tu i innych piękności, jak wspomnienie przejażdżki po jeziorach, połączonych ze sobą kanałami — albo obrazy znanych z historji miast i osad: Olsztyna, bronionego przed Krzyżakami przez Mikołaja Kopernika, Starego Olsztyna (Warmja), Fromborku, (słynnego z obserwacji kopernikańskich), Licbarku, dawnej rezydencji biskupa Krasickiego, Malborku i Królewca.

Historja Janka Łady doprowadzona została do lat ostatnich, przyczem wspomina się o jego studenckich czasach w Warszawie i nawet udziale w Jasnogórskiej pielgrzymce akademickiej — Janek jest wciąż młody i jeśli patrzymy nań oczyma jego wielbicielek, równie zawsze urodziwy. A przecież był pod Verdun, więc lekko, liczy sobie dziś 37-8 wiosen, co jak na studenta jest dużo. Usterka wynikła z przecięcia się dwóch różnych założeń: powieści obyczajowej i daleko zasięgowego studjum pokolenia — ukazanego na przestrzeni długiego okresu rozwojowego, — i jest nader pouczająca metodycznie.

Piękno książki J. Wszebora podnosi silnie i czysto dźwięcząca nuta religijna. *Notabene*, ciekawy szczegół — protestanccy Mazurzy czczą Maryję.

St. J.

NOWE KSIĄŻKI

Kilarski Jan. Przewodnik po Wielkopolsce. Z 91 ilustr. i 6 plan. i map. Poznań 1938. Księg. św. Wojciecha. Str. 338.

Filochowski Wacław. Cierpkie pobratymstwo. Książka o Czechosłowacji. Warszawa 1938. „Bibl. Polska". Str. 307.

Skrudlik Miecz. dr. Chrystianizm i świat zwierzęcy. Poznań 1938. Księg. św. Wojciecha. Str. 112.

Wszebor Jan. Głos krwi i ziemi. Powieść z życia Mazurów. Łomża 1938. Bibl. Dobrych książek.

Majewski Erazm. W otchłaniach czasu. Warszawa 1938. Inst. Wyd. „Bibl. Polska". Str. 283 z ilustr.

Szyszkowska Żelisława. Sprawa rozwodowa Ryszarda Montholona. Warsz. 1938.

Sikorski Bolesław. Zagadnienie społeczeństwa i państwa polskiego na Wołyniu. Z mapką. Poznań 1938. Str. 160.

German Juliusz. Amaranty. Powieść z lat 1803 — 1813. 2 tomy. Warsz. — Lwów. Książnica Atlas.

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYSTAWY W ZACHĘCIE

NAJSZERSZA publiczność, zwiedzając Zachętę, zainteresuje się zapewne dziełami Mariana Konarskiego, gdyż znajdzie tu dla siebie ulubioną pożywkę w postaci symboliki, której pracom młodego artysty nie brak. Bowiem ludziska bardzo chętnie głowią się nad tem, co obraz oznacza i jaki ma tytuł.

Inni, bardziej świadomi rzeczy i ujmujący sprawę głębiej, również, choć z innych już powodów, powinni zwrócić uwagę na wystawę Konarskiego. Nie dlatego, by obfitowała ona w prace doskonałe i świetne; przeciwnie — niemal każde dzieło budzi w nas zastrzeżenia natury plastycznej, lecz i świadczy zarazem, jak różnorodnie próbował się autor wypowiedzieć. Widzimy tu nie rezultat doskonały pewnych poszukiwań, lecz raczej sam ich proces i z tego względu, jako świadectwo życia organizmu artystycznego, wystawa jest interesujaca.

Konarski należał do grupy Szukalszczyków, teraz chadza luzem, pozostała mu jednak z tamtych czasów skłonność do symboliki i typowe, charakterystyczne ujmowanie rysunku w formy o gładko wyretuszowanej powierzchni. Ślady związku z grupą macierzystą najdobitniej się ujawniają w rysunkach i projektach architektonicznych, natomiast w olejnych kobiecych portretach, np., ta łączność zupełnie ginie.

Z racji zainteresowań rysunkowych Konarskiego możnaby sądzić, iż barwie w obrazie przeznacza on rolę zgoła nie twórczą, nijaką. Tak jednak nie jest. Konarski nie unika barw, nawet bardzo jaskrawych, a więc i je pragnie uczynić środkiem swej wypowiedzi plastycznej. Można pod względem kolorystycznym podzielić jego obrazy na dwie kategorie. W jednych posługuje się gamą przyjemniaczkowatą, lecz bardzo łatwą i pospolitą; kolorystyka drugich jest zgoła ordynarna. Choć to wygląda na paradoks, radzimy Konarskiemu iść w tym drugim kierunku. Bowiem i ordynarnością kolorystyczną można się posłużyć w sposób artystyczny, dla uzyskania pewnego wyrazu. Świadczy o tem największy i najlepszy obraz Konarskiego na wystawie, w którym artysta, śmiałością pewnych jaskrawych zestawień, uzyskał już efekty dodatnie. Idąc dalej konsekwentnie po tej ścieżce Konarski trafi na szlak nienajczęściej w Polsce uczęszczany. Temsamem rozwinie i zachowa własną indywidualność. A także jej siłę.

*

Z wystawą zbiorową wystąpił również Marcin Kitz ze Lwowa. P. Kitz zanadto sobie upraszcza zagadnienia kolorystyczne, cały nacisk kładąc na brawurę pendzla. Przy niewątpliwych zdolnościach, nie umie zorganizować całości obrazu, o czem najlepiej świadczy jego martwa natura z imbrykami, gdzie każdy przedmiot sobie rzepkę skrobie, nie licząc się z sąsiedztwem.

WIKTOR PODOSKI

Z TEATRU

„W PERFUMERII"

U MALICKIEJ

TERAZ Teatr Malickiej nabierze rozgłosu i „zrobi kasę". Wybrano tu bowiem na koniec sezonu sztukę, która bardzo korzystnie odcina się od żałosnych fars w kilku innych teatrach warszawskich.

Autorem „W perfumerii" jest Węgier M. Laszlo. Odrazu rzuca się w oczy jego świetne opanowanie techniki komediowej. Połączenie wątku melodramatycznego z farsowym daje efektowne kontrasty. Autor nie przeciąga jednak ani jednej, ani drugiej struny. Utrzymuje się w granicach estetycznego umiaru, co jest niezbędnym warunkiem zadowolenia kulturalnego widza. Mistrzostwo jest tu właściwie umiejętnym graniem na nerwach publiczności. Kiedy już za chwilę mamy poczuć, że ponura awantura przeciąga się, że nastrój „melo" może się stać uciążliwy, akcja zmienia się nagle po naszej myśli, pada żart, wybucha komizm. Sala rozbrzmiewa oklaskami.

Autor jest doskonale obeznany ze sceną. Posługuje się zręcznie zmianą oświetlenia. Naprzykład pół aktu I. rozgrywa się w półmroku, co po rzęsistej iluminacji w pierwszej połowie jest silnie działającym czynnikiem zmiany nastroju. Akcja jest wartka i bujna, naładowana zagadkami i zagadnieniami, pełna poważnych napięć, obfitująca w nieporozumienia, przeciwieństwa, krótkie spięcia.

Reżyseria Z. Sawana mającego dobre zrozumienie efektu, nastroju i tempa, stworzyła z tego wdzięcznego materiału ciekawe i wesołe widowisko.

Rolę Schmida, właściciela perfumerii zagrał starannie i wyraziście Janusz Nowacki. Romana Asztalosa, subiekta, uszczęśliwionego anonimową miłością koleżanki Petroneli Balars, odtworzył Roman Zawistowski. Głos pełny o brzmieniu melodyjuym i barwie ciepłej; dykcja nieco monotonna, zbyt nawykła do ról mazgajowatych. Petronelą jest Irena Szabelakówna. Rolę ma trudną, bo musi wyrażać dużą skalę uczuć i wiele mówić w pasji. Wywiązuje się z tego zadania dzielnie i sympatycznie. Leona Siposa gra H. Modrzewski z odpowiednim a ucieszným skojarzeniem melancholii i komizmu. Dużym talentem zabłysnął Włodz. Łoziński w roli Rudolfa Kadara. Tad. Fijewski stworzył b. dobrą sylwetkę „gońca".

Komedię przełożyła Melitta Baranowska. Dokoracje wykonał Stanisław Kurman.

T. D.

NA MARGINESIE

KOGUT I PERŁA

Według Lafontaine'a

Kogut, żółtodziób, perłę znalazł,
no i, znalazłszy, wesół, wali
w te pędy do szlifierza Icka:
— Perełka, — pieje, — klasa, rasa,
lecz rzuć, pejsaku, przygarść kaszy,
twoja jest: niech ją dunder świśnie! —

W schedzie po ojcach dostał tuman
pergamin, klejnot lackiej dumy;
pod pachę go i, wio na żydy.
— Ile? — Sto? Za co?! Za papiurka?
Powiedzieć pana? Dam złotówkie! —

Ja tumanowi w gębębym dał.

Janusz Kawecki

KOMUNIZM W WIELKOPOLSCE

TAJEMNICA powodzenia wywrotowej akcji komunistycznej w Polsce polega na: 1) konspiracyjności, która mackami swemi oplata nietylko zawodowe organizacje robotnicze, nietylko masy bezrobotnego proletariatu, zgrupowanego przeważnie po miasteczkach i miastach ale także zawodowe organizacje inteligencji pracującej, organizacje katolickie, społeczne, szkoły średnie, uniwersytety. 2) Na sprytnej taktyce, dostosowanej do terenu, opartej nie na moralności, bo tej KPP nie uznaje — ale na interesie partii. 3) Na kapitale, który płynie do kasy Centralnego Komitetu Wykonawczego KPP — nie tylko z kas kapitalistów żydowskich — ale i z kasy państwa sowieckiego. I nic też dziwnego, że, mimo tylokrotnej pozornej likwidacji jaczejek Komuny na terenie miast i wsi przez władze bezpieczeństwa, komuna istnieje i działalność swą dalej prowadzi.

Szczególnie niebezpieczna jest działalność kominternu na terenie Wielkopolski, bo do ostatnich czasów prawie że niewidoczna. Dopiero strzał zbrodniczego opętańca, ślepego wykonawcy poleceń partyjnych, w świątyni lubońskiej, który położył trupem kapłana wielkich cnót — Stanisława Streicha — zatargał sumieniami nietylko Wielkopolan ale wszystkich Polaków. Ten strzał komunisty — dopiero poderwał społeczeństwo polskie i do walki je pchnął. W kilka dni po tej zbrodni władze śledcze aresztowały w Poznaniu kilkanaście osób, które publicznie pochwalały czyn Nowaka.

Aresztowania o podobnym charakterze miały miejsce i później. Komunistów osadzono w więzieniu i sądownie ukarano. Za obronę Nowaka— został wykluczony z Rady Miejskiej w Inowrocławiu radny PPS — Kiełbasiewicz. Minęły już od tego tragicznego momentu 3 miesiące — minął już okres protestacyjnych zebrań — manifestacyj bojowych — okres oburzenia — odnosi się wrażenie, że znów nadchodzi czas bożego spokoju, gdy tymczasem komuna działa i to w tempie szybkim. Właśnie Wielkopolska jest dziś pod mocnym obstrzałem komunistycznym.

Na czemże polega działalność KPP w Wielkopolsce i gdzie są jej środki dyspozycyjne?

Ośrodkami dyspozycyjnymi są: 1) żydzi, 2) agitatorzy komunistyczni i wyszkoleni pod opiekuńczemi skrzydłami Bluma — reemigranci z Francji.

Choć żydów jest tu mało — to jednak przy pomocy misternej sieci organizacyjnej jaczejek komunistycznych, którą jest pokryta Wielkopolska— spełniają rolę siewców komunizmu. Świadczą o tem obchody pierwszomajowe — wszędzie tam, gdzie one się odbywały — żydzi brali bezwzględnie udział. W domach żydowskich odbywają się zebrania jaczejek KPP — domy żydowskie są rozdzielnią bibuły propagandowej—wywrotowej. Przyznać trzeba, że tej akcji żydowskiej prawie w terenie nie widać. Robią to bardzo misternie, licząc się z nastrojami antyżydowskiemi miejscowego społeczeństwa. Żydzi są ośrodkami woli. Wykonawcami tej woli są oczywiście otumanieni Polacy — reemigrujący z Francji. Jest ich w Wielkopolsce wielu. Są prawie w każdym mieście. Rozwijają bardzo żywą działalność w różnych organizacjach zawodowych, społecznych i politycznych. Szczególnie podatnym terenem dla ich akcji są: Zjednoczenie Zaw. „Praca”, będące filarem Stronnictwa Pracy, klasowe Zw. Zawodowe, PPS — oraz organizacje zawodowe robotników rolnych i służby folwarcznej, zorganizowanej przeważnie w b. NPR. Organizacje te w przeważającej części przeżarte są wpływami KPP. W lokalach partyjnych tych organizacyj szkoli się agitatorów komunistycznych — tam działają agitatorzy komunistyczni wśród robotników.

Na jednem z zebrań antykomunistycznych już po zbrodni lubońskiej w Sierakowie — członkowie Stronnictwa Pracy pod wodzą emigrantów z Francji wznosili okrzyki „Precz z klerem” „Niech żyje czerwona Hiszpania”. Na zebraniu takiem antykomunistycznem w Szamotułach (miasteczko powiatowe) — członkowie Zjedn. Zaw. „Praca” razem z członkami PPS i Kl. Zw. Zaw. wznosili okrzyki na cześć Rosji Sowieckiej, Czerwonej Hiszpanii i przeciw klerowi. Są miasteczka w Wielkopolsce w 50% opanowane przez wrogie Polsce siły. Np.: Rogoźno, Chodzież (zupełnie skomunizowane wraz z powiatem). Silnie zakorzeniony jest komunizm w Gnieźnie, Inowrocławiu, Międzychodzie, Wrześni.

Niepokojące są takie wiadomości nadchodzące ze wsi — szczególnie z folwarków i majątków. Służba folwarczna i robotnicy rolni są w przeważającej większości pod komendą komuny, choć oficjalnie należą do N. P. R-u i Str. Pracy. Robota nad zrewoltowaniem świata pracy idzie szybko naprzód. I tak w ostatnich prawie dniach miały miejsce zajścia w związku ze strajkami głodowemi w Inowrocławiu, Starogardzie, Poznaniu, Grudziądzu. Na każdym prawie kroku znać działalność wysłanników Moskwy. Wielkopolska jest zalana wprost agitatorami, którzy w związku z dużem bezrobociem i nędzą, jaka panuje wśród robotników, mają łatwe pole do agitacji. Taktyka komunistyczna polega tu nie tylko na podniecaniu głodnych robotników do wystąpień, na żerowaniu na nędzy, na szkoleniu agitatorów i techników organizacyjnych — ale na uprawianiu specjalnej propagandy, w której starają się społeczeństwu polskiemu udowodnić, że w Wielkopolsce nie ma żadnego komunizmu, że to tylko straszak endecki stosowany po to, by odwrócić uwagę społeczeństwa od niebezpieczeństwa niemieckiego. Posuwają się oni nawet do tego, że rzucają hasła przyłączenia Gdańska do Polski — gdy znów na terenie Gdańska głoszą o jego niezależności i niepodległości politycznej, wymyślają z nią na brutalny imperializm burżuazji polskiej.

Komuniści są wielkimi zwolennikami polityki profrancuskiej — co wszędzie głoszą. Jak z tego widać, taktyka ich jest dostosowana do warunków wielkopolskich. Taktyka ta jest b. niebezpieczna— bo trudna do wykrycia. Idzie ona po linji ogólnych nastrojów społeczeństwa. Dla jaknajwiększego przystosowania się do ogólnej atmosfery w Wielkopolsce w 1936 r. podpisywali nawet ulotki: Komitet Wykonawczy Narodowej Partji Komunistycznej. To wszystko sprzyja im w akcji. Wygrywają oni te atuty, które mają w Wielkopolsce największe wzięcie. A w związku z nasileniem niemczyzny, które po ostatnich zwycięstwach Hitlera coraz bardziej podnosi głowę, niebezpieczeństwo komuny jest tu specjalnie groźne.

JAN BARAŃSKI

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.